

XXXVII OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 25 LISTOPADA 2022 R.



ORGANIZATORZY:
Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury Fregata

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku



MIECZYŚLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI

*niebo odarte z liści
samotnieje rozpaczą w gałęziach
i moich wierszach
drzew krzyczą pustką
czerwienią krwawiących ran
szarpanych bezlitośnie
niebo bez ptaków
prosi o ciche requiem
do wiosny*

*Mieczysław Stryjewski
16 XII 1966*



lūvayt, 2022

laura Schröder

JURY

Kazimierz Nowosielski - przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Daniel Odija

Jerzy Stachurski

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego

Paweł Podlipniak (Radom)

W KATEGORII POEZJI:

I miejsce – nagroda Burmistrza Miasta Lęborka

Piotr Piątek (Kołobrzeg)

II miejsce – nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku

Mirosław Kowalski (Mysłowice)

III nagroda

Mateusz P. Barczyk (Katowice)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego

Grzegorz Chwieduk (Kępice)

II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego

Marek Kowalik (Zawiercie)

III nagroda

Karolina Stronciwilk (Wysoka)

NAGRODY SPECJALNE

Nagroda Burmistrza Miasta Lęborka dla twórcy z ziemi lęborskiej

Paulina Czajkowska (Wicko)

Wyróżnienie dla twórcy z ziemi lęborskiej

Ewa Krzemińska (Lębork)

Nagroda Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

Hanna Makurat-Snuzik (Gdańsk)

Nagroda Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku

Adela Kuik-Kalinowska (Słupsk)

Katarzyna Myszk (Łubiana)

NAGRODA GRAND PRIX MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PAWEŁ PODLIPNIAK

CZAS[OWNIKOWY]

zakopywałem ojca, by go nie znalazła
nadciągająca jesień. gdzieś w stygnących gniazdach
wiatr czujnie przeczesał resztki zbędnych puchów
– pamiątki po odlotach, a złudzenie ruchu
potęgowało drżenie pomarszczonych liści,
przedwcześnie postarzałych w czasie rzeczywistym.

zakopywałem ojca. jeszcze się wrywał,
jeszcze szarpał w pamięci, więc pamięć jak blizna
szpeciła resztki lata. nie chciał się zapomnieć,
zagoić w mojej głowie, a tam nieprzytomnie
w stosach zabaw, zabawek, kapslowych kolarzy
wyciekało mi życie za horyzont zdarzeń.

zakopywałem ojca, jak miasto pompeje,
jak naiwny lejtmotyw z przebrzmiałych piosenek,
fundament, co nie uniósł najłżejszej z budowli
– życia pełnego blasku z przedjesiennych ognisk,
oddechu, w którym nagle słyszysz pożegnanie
odchodzącego rakiem w stygnącą niepamięć.

MAN IN THE BOX

jestem człowiekiem schroedingera
pudełkiem zatrzaśniętym w sobie
nie ma mnie nawet kiedy jestem
i nawet wtedy jestem obok

obok już nie przynosi ulgi
twój dotyk też nie koi bycia
w środku siebie jestem niczym
więc nie zaglądam gdzie nie ważę

nie ważę nawet nie rozważam
ważności której co dzień tracę
łut albo kwartał w rogu pudła
jak kot uśpiony złotym strzałem

strzałem nie można przecież trafić
czegoś co samo siebie nie chce
i tylko mam w celowniku
życie skazane na podczerwień

ESCHATON

to martwa ryba – gwóźdź wbijany w trumnę rzeki
i smród, jak całun unoszony wiatrem ponad twarz wdowy,
przy rybie kaleki, kupcy, kłamcy, złodzieje czekający zbawcy,
który miał nadejść, gdzieś w granicach wtorku,
z jasnym, czystym przesłaniem: strzeżcie się niosących
sieci, oni z was ulepią szklistowonne golemy
na obraz i podobieństwo tego, co się buja
w lepkich od potu skończonych przestworzach,
a tam już tylko dzwon i wielka kraksa
bez szans na odwrót.

to żywe srebro – cierń wyjęty ze stopy żebraka
i kłamstwo, niby lufa przystawiona do głowy dziecka,
w relacji na żywo z cienkiej linii frontu
– w tle martwe koty zwisające z drzew
wiadomości dobrego, lepszego i wypasionej łaski,
a za tłem tli się cyrk całkiem szalony,
wije i parska żarem, oczekując słowa,
które nam zmarszczy brew w niemym zdziwieniu,
a potem tylko dzwon i wielka kraksa,
bez szans na odwrót.

to odwrót – druga strona do przeniebowania,
więc gwóźdź rdzewieje, tuli się do ręki.
jeśli najczulej przebiję nadgarstek,
to znak, że wzięliśmy szaleństwo za miłość
i w tym złudzeniu już pozostaniemy.

TO [BALLADA PO GRUDZIE]

wspinać się po szufladach płonącej żyrافی,
by schłodzić się w ogniu, zanim brzask oślepie,
z sierpem księżycy wbitym tuż pod lewe żebro
bez winy i bez zmazy w stwardniałym powietrzu.

to rok krwawego słońca, więc księżyc jest ostrzem
– oddziela nas brutalnie od lat względnie tłustych,
kiedy rzucając chleb szcerstwiały na wody płynące,
marzyliśmy o nigdzie nieskończonym niczym.

to zimna perspektywa zbłękitniałych okien,
nibyrybiego oka zasnutego bielmem
lepszego dnia, czułych słówek, ciał łączonych cudnie
w korowody taneczne bez chęci ucieczki.

to czas jest zły, okrutny, choć ucichły dworce
opuszczone przez stada przerażonych ludzi
szukających nadziei na przyjaznej ziemi,
lecz wciąż nie wiemy wcale dokąd zmierza pocisk.

ich jest gaz, czyjaś nafta, ich stwardniała gruda,
zaciśnięta bezradnie w jeszcze ciepłej pięści,
sierp księżycy wciśnięty, gdzieś pod lewym żebrem,
i powietrze stwardniałe aż do samej śmierci.

żyrafa jeszcze płonie, choć nikt się nie wspina
na osypiska piętrowe pełne rannych mebli,
lecz na dropiastej ścianie wciąż zegar z kukułką
oczekuje powrotu lepszych, czułych godzin.

I NAGRODA BURMISTRZA
MIASTA LĘBORKA

PIOTR PIĄTEK

RANO

odprowadzam córkę do szkoły, idę ociężale
przygarbiona i nieuczesana, mam na sobie
szary płaszcz i buty na wykrzywionych słupkach,
ciągnę za sobą dziecko tak jakby stawiało mi opór

podobno po śmierci wyglądamy jak dzieci,
a na twarzy rzeźbiarza, na jego szyi i na rękach
zawsze osadza się szare wapno,
rzeźbiarz ceni sobie ludzkie ciało jako materiał
ze względu na możliwość modelowania,

może go nakładać plastycznie warstwami i rozkrajac,
spod rozdartej błonki odsłania się plaster mięszsu,
nasączony ciępkim sokiem,
najbardziej tajemnicze są wypełnione powietrzem płuca,
przekrojone na pół odsłaniają włókna,

co zbiegają się wokół pustego centrum,
i spadają w nie bezgłośnie niczym w studnię.

BĘDZIEMY KRWAWIĆ

zgadzasz się bym zgoliła włosy, wyrwała sobie rzęsy i brwi,
ponieważ wiesz, że odstanie się wszystko co się stało,
jedynie urośnie za nami starta porzuconych rzeczy,
jak niedorzeczny każdej kolor, kształt, zapach,
wszystko zsuwa się z nas bezgłośnie

zgadzasz bym rano zaczęła od prasowania, by poczuć ciężar
w nogach, pulsowanie żył, skręconych w dziwny sposób, puls
na mojej ręce ogromny bąbel złączył się z innym
ogromnym bąblem i teraz ciągnie się przez całą dłoń,
biorę nóż i ciskam nim w sam środek pulsującej poduszki,
fontanna ropy i krwi strzela, aby po chwili spłynąć leniwie
po nadgarstku wprost na podłogę,
piecze jak zawsze

zgadzasz się żebyśmy spali oddzielnie,
bym nocami uczyła się chodzić ordynarnie jak facet,
wygrywała bitwę całą wojnę,
drapała stopy do krwi by zostawiać ślady na podłodze
a na koniec cicho będzie między nami i pusto,
jakby jeszcze nie wymyślono człowieka.

ŹRÓDŁO ŚWIATŁA

nie mam romansu, nawet nie mam czasu ogolić nóg,
reszty w ogóle nie gołę, bo i tak nie mam dla kogo,
on wsypuje lód do szklanki, ja zwijam się w kłębek
na skórzanym komplecie wycoczynkowym - daliśmy
za niego majątek,

mam na sobie gruby dres, pod spodem podkoszulek
jaki dostałam kilkanaście lat temu od byłego chłopaka,
jest na nim logo zespołu, którego nigdy nie słyszałam,
on podaje mi kieliszek do połowy wypełniony winem,
razem śmiejemy się z komedii, o której dobrze wiemy,
że nie jest śmieszna,

zwykle mówię, boże, jaka jestem zmęczona, on kładzie
mi wtedy rękę na ramieniu, jakby pocieszał swojego kolegę
zwolnionego z pracy i to jedyna forma kontaktu cielesnego,
jaki jest między nami.

PRZYBRANIE DLA SCHABOWEGO

rano warczymy na siebie, on sika, ja sikam, myjemy zęby,
chodzę nago po mieszkaniu, lecz on nie zwraca na to uwagi,
robi kawę dla nas dwojga, wypijamy cztery w ciągu dnia
i drży mi oko, facebook radzi bym piła magnez, mówi, pij
kochana magnez, to pomaga,

potem zastanawiam się, jakie przybranie dla schabowego
i pieczeni z jagnięciny, moczonyj w marynacie i posypanej
złotym pyłem curry,

wieczorem znowu pragniemy poczuć ten świat na ustach,
więc zaczynamy mówić i jeść, ja siedzę tyłem, więc nie mogę
dostrzec, jak wyglądają jego źrenice, czy mam to, co go kręci,
co kręci niegrzecznego chłopca, i czy chciałby wypróbować
jak smakuje moje białko, mój obraz wilgotnego oka,
jego miękkość, elastyczna błonka,

czy chce wziąć moje oczy w dłonie, wytrząsnąć słone krople,
i czy po jego plecach przebiega strużka potu, czy pieką go uszy,
stopy, całe ciało.

II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO
RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

MIROŚLAW KOWALSKI

WIERSZ PRZEZROCZYSTY

małe szklane kulki
wysypują się ze snu chłopca
rozbijają cienką tafle lodu
długo
od nowa
zamarzać będzie źródółko
chłopiec
zbiera kawałki lodu
ogłąda przez nie
własne ślady na śniegu
w źródlanej wodzie
szklane kulki stają się niewidoczne
nad utraconym skarbem
chłopiec nie płacze

to nie powinno być możliwe
ale naprawdę
widać z naszego okna
co dzieje się za horyzontem

idą
z pralni
pewnym krokiem
prosto do jatki
nie widzą bo nie widzą
albo nie widzą bo nie chcą
promienieją woskowe maski
błyszczą buty i spinki
dyndają świńskie ogonki

chłopiec nie jest już chłopcem
dawno rzucił palenie i nie goli brody
przez kryształowo przezroczyste palce
widzi nieco więcej
niż ślady na śniegu

jakim sposobem
polerowano te szyby
czego dosypano jeszcze do kadzi
z przejrzystością najwyższego stopnia

wychodzą kolumnami
z tamtej strony weneckich lusterek
nie odróżniają drzewa od starca
niemowlęcia od jajka
rozgniatają ślimacze skorupki
stokrotki i chrząszcze
przydeptują pięty karki
miażdżą małe rączki

nie tańczysz dziś półnaga
nie malujesz ptaków w powietrzu
pod powiekami masz kawałki szkła
nie bądź dzieckiem
oni przecież
nie patrzą z naszych okien

NASTROJE

chodniki i mury miasta
między sobą rezonują nastroje

faceci spluwają mędrkują
pociągają prosto z butelki lub puszki
rozstrzygają definitywnie
koniec i kropka

kobiety pomstują na złe
którego nigdy nie bierze lichy
i tylko lichy wie dlaczego tak jest

chodniki i mury odbijają skrajności
kiedy wzrok uparcie wbija się w asfalt
nawet to co dobre jest diabła warte
wszystko na nic

chwilami jednak mury jakby jaśnieją
chodniki wygładzają swoje powierzchnie
wzrok dotyka chmur
zwiewne smugi delikatnych mgieł i światła
krzyżują się tuż nad domami
to trasy codziennego przelotu aniołów

KLAMKI

złocistymi strugami
przez zielone witraże liści
przeciekała manna z nieba
zapładniając łono wiosny

rodziło się świeże
i rodziło się też wredne
obok

tego roku nie adorowali kaczeńców
nie pławili się w tym słońcu
nurkowali w szafach
po kryjomu dyskretnie
pomijając jasne i kolorowe
przymierzali się do ciemnych minorowych

co było robić
jak wypatrywać konwalii
kiedy zapadały kolejne klamki

iskry jedna po drugiej
gasły stopniowo
do ostatniej

IMAGO

kłopot w tym że za dużo zgiełku do przetrwania
nie kleją się ze sobą pewne priorytety

w sieci to jednak nie to samo
co zapach dotyk oddech wiatr
muśnięcie włosów
posmak skóry na czubku języka
nie to co szum fal rzeczywistych
widocznych zwykłych po prostu wodnych
szum fal i liści albo pocałunek słońca
zdobyty na ścieżce na ławce gdzieś
korzystnie tanio
lecz bez dodatkowej aplikacji

kłopot w tym by się wydostawać
z oplatającej sieci na światło
prostować czułki i skrzydła
iść po zapach dotyk oddech wiatr
po codzienny ślad kobiety
na prześcieradle

III NAGRODA

MATEUSZ P. BARCZYK

ROZTWÓR

wyobraź sobie rzeźbę
z kamienia; przyjaciół plecami
oparty o twoje plecy, milczący

w rozgadany ciele,
zakopany w wierszu
bez wielkich liter,

jakby nic
nie było ważne;

w języku, w głowie,
w kamieniu.

BÓL KRZYŻA ZNIKA,
GDY O NIM NIE MYŚLISZ

gwoździe niemych słów
przytwierdzają do krzyża
moje ręce i nogi

chciałem tego

nie mogłeś mnie widzieć
choć byłeś we mnie
więc wbiłem ostrze pod żebro
by cię wydobyć

umarłem od tego
i to był jakiś
koniec

a trzy dni później
ja jestem znowu
a ty jesteś nadal

DONICA W ZASADZIE

nawet chwasty mają chloroplasty

w przytulnym wnętrzu znajdziesz doniczkę
ostatnią szansę dla ciebie i całej ziemi

nie chodzi nawet o zapuszczenie korzeni
chodzi o mitochondria i o to by przez
chwilę w spokoju pofotosyntezić

odpowiednio oświecony przyznasz
że w niektórych kwestiach każdy
jest zielony

JEZUS BRAŁKWAS

wybrałeś microdosing
jako pretekst rozwoju.

mówiłeś:

ja – złoty środek,
ty – złoty strzał.

leżałeś chwilą, żyłeś
plackiem.

niezłomny, niegotowy,
niedomknięty

I NAGRODA STAROSTY
POWIATU LĘBORSKIEGO

GRZEGORZ CHWIEDUK

MOŻNA UDAWAĆ SŁOŃCE

TERAZ DOPIERO

Przypomniałeś sobie o mnie. Wcześniej unikałeś nawet telefonicznych kontaktów. Nie wygonię ciebie, o to możesz być spokojny. Ważne, że przejrzałeś wreszcie na oczy. Ze mną, jak widzisz, kiepsko. Rokowania co do cholerstwa, które się do mnie przyцепiło, są naprawdę niewesołe. Funkcjonuje jako tako, ale czarne perspektywy przed twoim bratem bliźniakiem. Od kiedy zmarli nasi rodzice, wszystko się zepsuło między nami. Próbowiałem ratować sytuację, ale co z tego, że ja chciałem, skoro ty byłeś jak skała.

Na pewno duży wpływ miała twoja żona, zawsze uważała się za lepszą. Zazdrość ją zżerała, że jej szwagier w pięknym domku mieszka, a ona musi męczyć się w dusznym blokowisku. Sam wiesz, że doszedłem do tego, co mam, własną ciężką pracą. Prowadzenie trzech sklepów spożywczych to multum roboty. Przekłete racyzko dało znać o sobie w najmniej spodziewanym momencie, kiedy obie córki wyszły za mąż. Już niedługo przyjdą na świat wnuki, tylko ja nie wiem, czy tej wspaniałej chwili doczekam. Musiałem zrezygnować z interesu. Uszczupliły się znacznie finanse, ale cóż ważniejszego nad zdrowie. Nie będę ciebie zanudzał swoją chorobą i nieszczęściem, jeszcze żyję i z tego należy się cieszyć. Jeśli Bóg na gorze pozwoli mi dalej chodzić i oddychać, to nie wrócę ze szpitala nogami do przodu. A co u ciebie? Słyszałem, że jesteś już szczęśliwym dziadkiem. Gratuluję. Mam nadzieję, że pokażesz mi Kacperka. Moja żona jest teraz jednym kłębkim nerwów. Zarywa noce, nie śpi i sama siebie psychicznie maltretuje. Kochamy się, ale jesteśmy bezradni przed nieobliczalną kostuchą. Spójrz na mnie, już się bardzo różnimy. Wcześniej byliśmy do siebie podobni jak dwie krople wody, jak dwa sobowtóry. Rak wyszał ze mnie kawał ciała i wyglądam przy tobie, jakbym był twoim synkiem. Przestań płakać, zawsze mówiłeś, że jesteśmy twardzi. Marzyliśmy

o karierze dumnych oficerów, ty zostałeś w końcu nastawniczym, a ja harującym od świtu do wieczora sklepikarzem. Głowa do góry, bracie, w cuda trzeba wierzyć.

GŁOŚNA IMPREZA

Mamusia z dwoma synkami znowu się bawi. Cały blok huczy, lecz sąsiedzi udają, że niczego nie słyszą. Nikt się nie wychyli i nie zadzwoni na policję. Długa noc zakrapiana alkoholem. Nie ma bijatyki, są tylko brzydkie, wulgarne wyrazy i ryki, jakby ktoś kogoś obdzierał ze skóry. Cała trójka popisuje się autorskimi monologami. Nie brakuje tu anegdot i muzycznych wstawek operowych. Posiłkują się discopolową młócką. Synkowie wytatuowani przyjechali po raz kolejny z Holandii i muszą ofiarować matce swoje podniecone serca. Nie założyli rodzin, nie mają czasu na taką błahostkę. Ważne jest dla nich imprezowanie, kasa i szpan. Mamusia po domowej imprezie będzie po raz kolejny głowę do góry unosić. Nie ma wstydu za grosz. Dopóki żył jej mąż, trzymał w rodzinie dyscyplinę. Chodzili do kościoła, obchodzili święta. Załamało się wszystko po jego samobójczej śmierci. Nie wytrzymał napięcia, bo miał już dość bycia domowym żandarmem. Dość miał krzywych spojrzeń, bluzgów i synów materialistów. Brygida jako wdowa machnęła na wszelkie zasady ręką, rozbijała się na dobre i teraz systematycznie się upija. Chła wódę bez synów w pojedynkę, włącza wtedy głośniki na całą parę. Chła, gdy do niej na weekend Jacuś z Mareczkiem przyjeżdżają. Starsze małżeństwo z naprzeciwka już jest w trakcie zamiany mieszkania, woła dwupokojowe, niż trzypokojowe przy przekłętej rodzinie. Raz spróbowali grzecznie zwrócić Brygidzie uwagę, nasłuchali się trujących słów, tego nie da się powtórzyć. Głośne imprezy stały się w tym mieszkaniu tradycją i dziwne by było, że w tym bloku zapanaowałyby nudny spokój.

DUMNA JESTEM Z CIEBIE SYNKU

Najważniejsze, że pamiętasz o starej matce, nawet jeśli jest teraz koślawą i czasem zdziwaczała. Myślę, że się nie zmienisz i ciągle będziesz mi we wszystkim pomagał. Dzięki tobie mam synową, a właściwie drugą córkę, która wlewa też we mnie optymizm. Doczekałam się udanych wnuków. Jeden z nich w tenisa ziemnego gra, wygrywa już młodzieżowe turnieje. Drugi prymusem jest w prestiżowym liceum i ma talent do matematyki. Często synku dzwonicz, a ja zamieniam się w słuch, by dowiedzieć się, co dobrego masz mi do zakomunikowania. Dbasz, bym się nie martwiła. O twojej samochodowej stłuczce dowiedziałam się przypadkowo miesiąc później, dla ciebie to była pierdo-

ła niewarta matczynych nerwów. Przywozisz mi czasami swojego kotka Rysia na kilkudniowe przetrzymanie, kiedy gdzieś wyjeżdżacie z Martą. Ileż ja mam radochy z tym puszystym urwisem, który rozkłada się w nocy na mojej pościeli. Synku, ja w tej chwili niczego więcej w życiu nie potrzebuję. Chciałabym bardzo, żeby tak jak teraz zawsze było. Jestem już dwanaście lat wdową, najgorszy był okres tuż po śmierci Władka. Nie mogłam się przyzwyczaić, że w mieszkaniu jest cicho i pusto, że brakuje nawet tego głośnego chrapania. Dumna jestem, że wychowałam syna, który nie udaje miłości, nie robi niczego na pokaz. Masz dobre serce synku, nic więc dziwnego, że chwałą ciebie ludzie. Sąsiadka z dołu powiedziała wczoraj, że zazdrości mi takiego syna, że mnie odwiedzasz często, że mi pomagasz odkurzyć, zrobić zakupy, pomóc w praniu. Jej syn nadaje się tylko do żarcia i wchłaniania procentów. Synku, masz żonę, którą szanujesz, dbasz o wykształcenie i rozwój synów. Dzięki tobie nie mam powodów, by wiecznie narzekać i się wściekać. Powiem tak bez bicia, trochę żartem, że czuję się teraz jak mała dziewczynka obdarowana puchatą, czerwoną poduchą w kształcie serca.

RADZIŁABYM ZACHOWAC OSTROŻNOŚĆ

On nie jest taki, jak się panu wspinałomyślnie wydaje. W rzeczywistości trzeba na tego człowieka uważać. Miałam z nim wielokrotnie do czynienia i wiem, co mówię. Przed wszystkim łatwo można się nabrać na jego luz i dowcip. Ma poczucie własnej wartości. W pewien sposób to poeta z kłapkami na oczach, bufon i zatwardzialec. Bardzo oszczędny w pochwałach, musi stać się cud, żeby o kimś wypowiedział się najżyczliwiej. To mu się zdarza tylko w przypadku oceny poezji tych z najlepszym warsztatem. Całą masę twórców z defektami potrafi zignorować, a nawet zeszmacić. Ja też wysłałam mu swój kolejny tomik. Myśli pan, że potwierdził otrzymanie przesyłki? Gdy mu napomknęłam, czy doszła, odpisał, że zupełnie zapomniał i tyle było jego reakcji. Przypuszczam, że przeleciał oczami po moich wierszach i uznał, że nic nie są warte. Cały on. Pan zna go tylko wirtualnie, a ja z realu. Często chwali się w swoim stylu, że szlaja się sukcesywnie po różnych imprezach literackich. Jak indor dumny z wielkiej ilości peanów ze strony krytyków i licznych nagród w konkursach. Nie dziwota, że taki obcesowy w traktowaniu ludzi. Babiarcz z niego przy tym nie z tej ziemi. Nie interesuje mnie, z kim śpi, do jakiej damy i nie damy się doбира. Jego romanse, jego sprawa. Ale nie chciałabym mieć takiego męża. Chwali się żoną i córkami pod niebiosa. To jego absolutnie dodatnia cecha. Jest i druga strona. Mnie też zapraszał na niezobowiązujące spotkanie, wszystko się skończyło na winku w małej knajpce. Dalszego ciągu nie było, chociaż propono-

wał hotel. Chyba za dużo o nim powiedziałam, ale chciałam otworzyć panu oczy. Dużo pan nie stracił, że na pana wieczorek autorski ten poeta się wyjął. Zaoszczędził panu nerwów i nadciśnienia. Teraz sam wszystkich zaprasza na kolejną premierową książkę. Może liczyć na publikę, bo ma świetne notowania. Jego gęba jest niewyparzona, pomysłowa i bardzo, bardzo znana.

JESZCZE DAJĘ SOBIE RADE

Nie wiem, jak długo. W dodatku sąsiedzi robią wszystko, żeby mnie psychicznie zniszczyć. To, że jestem dla nich wariatką absolutnie już mnie nie dziwi. A tak chciałam sama, we własnym mieszkaniu, dotrzeć do końca. Córka z zięciem mi pomagają, wnuki też, nic złego na nich nie powiem. Starają się, bym z głodu nie umarła, przywożą obiady, dbają o zapas jedzenia i lekarstw. Ja sama też wychodzę na zakupy do najbliższego osiedlowego sklepiku. Lubię też posiedzieć sobie na ławce przed blokiem. Nie wdaję się w plotki z sąsiadkami i to wystarczyło, żebym była powszechnym wrogiem numer jeden. Nie interesuje mnie, kto na kogo głosował, kto się modli, kto chodzi a kto nie chodzi do kościoła. Uciekam przed nadętymi prowokatorkami. Oliwy do ognia dołała moja pomoc kotkowi ze śmietnika. Przygarnęłam tygryską z jednym okiem, a teraz wysłuchuję od wkurzonych sąsiadów, że od moich drzwi wejściowych smród sików kocich się rozchodzi po całej klatce. Oskarżają mnie o trzepanie kocyków z mojego balkonu na drugim piętrze, że zasypuje kocią sierścią mieszkających niżej. Próbowałam po dobroci, ale to nic nie pomaga, akurat wszyscy sąsiedzi są wrogami trzymania w domach zwierząt. Doczekałam się tytułu czarownicy i baby jagi z ust dzieci, jeden z urwisów nawet na mnie z obrzydzeniem napluł. Jeszcze sześć lat temu sąsiad z czwartego piętra cieszył się z posiadania pary jamników. Szybko został utemperowany, że to niedopuszczalne, by po godzinie dwudziestej drugiej psy zakłócały ciszę nocną. Szybko zareagował, sprzedał mieszkanie i kupił sobie mały domek na wiosce. Ja teraz szarpię się z tymi chamami i chyba jednak się poddam. W wakacje z córką i zięciem pojedziemy do biura nieruchomości. Trzeba będzie wystawić mieszkanie do sprzedaży i uciekać do córki i zięcia. Mam zagwarantowany przyjemny pokój na parterze. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. To nadzieja, że sobie jeszcze w spokoju trochę pożyję i przedko nie wykituję.

PO WIELU LATACH

Doszło do spotkania zainicjowanego z twojej strony. Moja żona nie miała nic przeciwko randce z dawną koleżanką z liceum. Dowiedziałem się, że je-

steś od dawna wdową, ale nie narzekasz na brak miłości. Przełałaś ze wzajemnością uczucie na dwie córki. Cieszysz się z posiadania aż siedmiorga wnucząt, u mnie ciągle szansa, że i ja w końcu zostanę dziadkiem. Siwą lepetynę i okazałe torby pod oczami już przecież mam. Spędziliśmy ze sobą kilka godzin, opowiedziałaś mi o swoich sukcesach zawodowych. Nie dziwię się, że praca przedszkolanki była twoim powołaniem. Ja też chciałem być nauczycielem, ale wiesz doskonale, że zabrakło mi paru punktów, byśmy byli na tej samej pedagogicznej uczelni. W tak matematyczny sposób utraciłem ciebie, bo związałaś się szybko z odważnym studentem, a przecież od w ogólniaku czuliśmy się, jakbyśmy byli mężem i żoną. Przysięgaliśmy, że wytrwamy, że nic nie pokona naszych podniecających cudownych planów. Pisałem do ciebie długie listy, kleiliśmy się do siebie wciąż na tej samej parkowej ławce. Potem musiałem iść do wojska. W tym oddaleniu wierzyłem w moc pisanego słowa, układałem romantyczne wiersze, ale ty już byłaś w innym świecie. Nie wiedziałas, jak mi prawdę powiedzieć, by mnie nagle nie zabić. O wszystkim dowiedziałem się od twojego młodszego brata. On zdobył się na śmiałość i o twojej zdradzie wyśpiewał. To był najtrudniejszy czas dla mnie w wojsku. Nie chcę już wracać do tego, co przeżyłem, może tak musiało być. Znalazłem żonę dzięki swataniu przez moją kuzynkę. Gdyby nie ona, pewnie zostałbym starym kawalerem. Nie gadaj, że byłaś głupią wredną małpą i zniszczyłaś nasze uczucie, że coś ci strzeliło do szalonej głowy. Właściwie nie znałem twojego męża. Może po prostu znalazłaś lepszy model. Nie cofniemy czasu. Nie podarujesz mężowi życia, tętniak załatwił go całkiem niespodziewanie. Fajnie, że siedzimy teraz w legendarnej starej pizzerii, to tutaj odbyła się nasza pierwsza randka. Od tamtej chwili zacząłem smalić do ciebie cholewki i byłem głodny twojego uśmiechu.

MASZ MATKĘ I BRATA

Jeszcze tylko oni martwią się o ciebie, o twoją zatwardziałą samotność. Odciąłeś się właściwie od wszystkich. Do pracy chodzisz po pieniądze, wykonujesz swoją robotę i uciekasz. Nie wdajesz się w dyskusje z ludźmi. Nie potrzebujesz dowiadywać się o sensacjach. Zamykasz się w jednoosobowej kawalerce, by słuchać poetyckich piosenek i muzyki poważnej. Odwiedzasz poetyckie strony w necie. Tam nafaszerowany frazami czujesz się jak ryba w wodzie. Sam próbujesz też coś pisać. Założyłaś nawet gruby zeszyt, który jest skarbnicą twoich myśli. Często dzwoni do ciebie matka. Wchłaniasz jej słowa i widzisz sens życia. Matka mieszka z twoim bratem, synową i trojgiem wnucząt. Jeszcze w bracie masz oparcie, on nie dołuje ciebie. Gorzej jest z jego żoną i twoimi bratankami. Uważają ciebie za dziwaka, który straszy swym wyglądem i dziw-

nym sposobem mówienia. Jąkanie się to twój znak szczególny. Przypominasz wystraszonego człowieka, można ciebie zabić nawet spojrzeniem. Inaczej jest z mamą i bratem. Oni nie prześwietlają ciebie. Jakoś radzisz sobie z samotnym bytowaniem. Z obiadów na karnet korzystasz od dawna w stołówce. W niedziele i święta przychodzi ci z pomocą matka. W każdym bądź razie z głodu nie umrzesz. Praca przy rybach nie jest łatwa, ale trzymasz się jej z konieczności. Bratowa ci wyłożyła kawę na ławę, żebyś się cieszył z takiej roboty przy swoim dukaniu. W jakimś przykładowo biurze już dawno byś zginął ze swoją gadką. Jednym z twoich marzeń jest wydanie książki ze swoimi krótkimi opowiadaniem. Chciałbyś, żeby ona była krzykiem i spowiedzią. Honorowe miejsce na promocji zajęłaby mama z bratem, bo oni są twoim całym światem.

WYSTARCZY FACETA NADMIERNIE POCHWALIĆ

Już zaczyna szaleć i robić z siebie mistrza świata. Mężczyźni to takie duże dzieci. Dają się prowadzić za rączkę, trzeba tylko dać im marchewkę. Znałam trzech. Każdy niby inny, ale tak samo głupi i fałszywy. Pierwszy pisał dla mnie wiersze, najpierw tworzył własne grafomańskie liryki. Słowo „kocham” powtarzał milion razy. Pochwalałam go za same starania, ale on wstąpił na wyższy poziom kompromitacji i zaczął zżynać od innych, znanych twórców. Plagiatowe wstawki przyjmowałam również z godnością, lecz ten gość jej nie miał. Na dodatek zaczął randkę z wódką. Któregoś dnia powiedziałam, co o nim myślę. Dałam mu na ulicy z liścia, to była moja wyjątkowa nagroda. Nawiedzał mój dom jeszcze przez miesiąc, czatował w różnych rejonach miasta. Płakał i dzwonił, ale gdy zobaczył mnie z rozwodnikiem Markiem, wtedy uwierzył, że to kres naszej półrocznej znajomości. Z tym drugim miałam ciągle kuchenne rewolucje. Przyrządzał smakowite potrawy, a dupa mi rosła. Widział, że funduje mi niebo w gębie, dlatego kulinarnie coraz bardziej się starał. Nie spodobałam się jednak jego starszym rodzicom. To niedopuszczalne, żeby ich najdroższy syn wiązał się z taką flądą, która sama ugotować nie umie. To zołza i matrymonialna oszustka, doczekałam się w jawny sposób dosadnych epitetów. Z zerem w kuchni nie ma szans na związek, syn nie może zamienić się w kurę domową. Ostatnia słowna bitwa była pieczętką na amen. Starzy szczekali i szczekali, a mistrz patelni milczał jak zaklęty. Trzeci mój facet to ideał męskości. Był takim kochankiem, że palce lizać. Młodszy ode mnie o dziewięć wiosen. Rozpalaliśmy siebie nawzajem do czerwoności, nic nie musieliśmy mówić, wszystko automatycznie samo się działo. Tak się jednak Tomek rozpędził, że zaczął działać realnie na innych dwóch frontach, również z kobietkami po przejściach. Teraz jestem znowu sama, ale nie uważam, żeby to był dla mnie dramat.

NIE UMIEM SIĘ JUŻ TAK CIESZYĆ

Nawet jak mam na ustach banana, to nie przypomina on już tamtego dawnego. Muszę usta jakoś gimnastykować i na różne sytuacje reagować. Eksplozje radości już za mną. Zbyt dużo doświadczyłem, aby teraz zamienić się w zielonego żółtodzioba. Kiedyś walczyłem o przyjaźń, o miłość bez jakichkolwiek podejrzeń. Zawsze brałem pod uwagę optymistyczny scenariusz. Oczywiście dostawałem kosza lub po nosie i to bardzo przeżywałem. Był to dla mnie dramat, po którym musiałem mieć dużo czasu, by się pozbierać. Teraz już tak nie przeżywam i się nie podniecam. Wyparowało maksymalne napięcie. Ktoś powie, że się starzeję, no nie będzie w błędzie. Podejrzliwość moja stała się normalnością. Rozpracowałem ludzi jak doświadczony psycholog. Nie mam złudzeń, że świat jest idealny, że ludzie się jak gołąbki kochają. Bronię się często brakiem reakcji i milczeniem, choć w środku cholera mnie bierze. Nie urządzam efektownych krzyków rozpacz, bo wiem, że to nic nie da, tylko będę pożywką dla plotkarzy i wrogów. Tych ostatnich najchętniej omijam z daleka i nie utrzymuję z nimi kontaktów. Zamknąłem się w wąskim kręgu rodzinnym.

SAMOCHODY, SAMOCHODY

A ja nie mam samochodu i daję sobie radę w wielkim mieście. Nie ładuję do bagażnika wielkich kilogramów różnych produktów. Nie przemieszczam się po dzielnicach błyskawicznie. Jestem pierdołą, nedorajdą, to fakt. Żyję cywilizacyjnie dziwnie spokojnie, bo nie w głowie mi jakaś markowa kurtka lub atrakcyjna wycieczka. Nudzę się często w tym mieście, ale nie rozpaczam. Nie planuję, co będzie za miesiąc, za rok. Zazdrość to obce dla mnie uczucie w porównaniu z moim walczącym o wszelkie dobra materialne rdeństwem i kiedyś do rany przyłoż wspaniałymi kuzynami. Paskudne mam dwie wykształcone siostry. Dziwią się, że gniję w dwupokojowym mieszkaniu, że jestem starym kawalerem, że nie mam dzieci, że moje mieszkanie jest takie zwyczajne i nudne, bez luksusów. To samo dotyczy brata, który zajął się biznesem i szpanuje domem jak z bajki. Nie mam z nimi o czym gadać, rozmowa o rzeczach materialnych nam się nie klei. A kuzyni to w ogóle mają mnie w dupie. Widzę ich często w stalowych rumakach, jadą do centrów handlowych, gdyby mogli to wjechałoby autami do środka, do sklepu. Ja mam prawo jazdy, ale nie czuję do kierowania mięty i siły. To chyba przez garść tabletek, które muszę połykać codziennie i osłabiają moją reakcję. Wystarczyła porządna stłuczka, abym zmądrzał i swych umiejętności w jeździe nie przeceniał. Tracę oczywiście jako zwykły szary człowiek, trudniej mi się przemieszczać.

czać. Przyzwyczailem się jednak do publicznej komunikacji. Ostatnio byłem na cmentarzu dziadków. Miałem cztery godziny do powrotnego pociągu, mogłem pogadać sobie z ptaszkami i poopalać się na sympatycznej łączce przy kościele. Tam kiedyś przed komunią świętą pocałowałem koleżankę z klasy, Iwonę, kiedy jeszcze mieszkaliśmy na wiosce. Dziś Iwonę spotykam na mieście w towarzystwie antypatycznego męża albo jadącą wypasionym samochodem. Przez te samochody straciło to miasto swój charakter i duszę. I ja się w tym mieście duszę.

KOTEK JEST CHORY

Brat się nie odzywa, żona się wścieka. Od kilku dni przesładuje go podejrzany głuchy telefon. Za każdym razem, gdy stoi przed blokiem policja, myśli że przyjechała po niego. Boi się rżenia młodzieży, boi się kłopotów w pracy. Ostatnio ciągle nieprzyjemne sytuacje. Posądzono go o plotki a nawet o donos na temat pewnej osoby. Chory kotek ma teraz operację w lecznicy, w porę go zawiózł, bo by było za późno. Żona przestała się zajmować Felkiem i coraz częściej robi wypadki z mieszkania na miasto. On podejrzewa, że go zdradza, już nawet domyśla się z kim. On ma napady nerwicy, musi brać tabletki na uspokojenie. Żona powiedziała, że nie potrzebuje takiego grubasa, że najlepiej by było, gdyby się po zgodzie rozwiedli bez krzyków i robienia scen. Każe mu iść do swojego tatusia, który czeka na synusia, przecież przepisał mu to dwupokojowe lokum. Kopnie go żona w tyłek, to pewne. Jest dla niej dziwakiem. No i tak to wygląda. Nawet się nie broni. Chciałby przespać ten trudny okres, jak wszystko się względnie unormuje. Kłuje go w sercu, z jego zdrowiem krucho. Wrogowie rosną jak grzyby po deszczu. Wyzwał po pijaku od różnych faceta z sąsiedniego bloku, tamten zgłosił to na policję. Ma syna zabijakę, umięśnionego i ten kulturysta grozi mu od tamtego czasu. Jest w dołku, nie śmieszają go kabarety, nie śmieszają komedie. Żona ma w dupie jego problemy i wystawiła go do wiatru. Nawet obiady przestała gotować. Musi sam coś przygotować. Boi się wynosić śmieci do kubła, boi się ludzi, nawet ich kaszlu. Tylko po winku nabiera odwagi, ale wtedy robi błędy. Powoli zaczyna wierzyć, że jest wrednym do kwadratu gadem, że nie nadaje się kompletnie do życia. Przestał chodzić do kościoła, nie ma żadnych zainteresowań. Do żarcia jest tylko dobry i do walki z wiatrakami.

PISZE I PISZE

Ciągle pokazuje swój nieprzyjemny egoizm. Łasy na pochwały, ale innych tłucze bez żadnej litości i dyskrecji. Zapatrzony w Norwida, ale to nie powód,

żeby go ocenić pozytywnie jako człowieka. W kontaktach osobistych bardzo trudny, nieufny. Kiedy się śmieje, jest to radość sztucznie kontrolowana. Właściwie nikt go nie lubi, w rodzinie nawet jest uważany za nadętego gbura. Starych rodziców odwiedza niezwykle rzadko, całe szczęście, że siostra ratuje sytuację i opiekuje się nimi, pomaga. Żonę kiedyś miał, ale na krótko. Która by wytrzymała z takim facetem, który nawet spojrzeć prosto w twarz nie potrafi. Nie znalazł nigdy czułych słów dla żony, bawił się ciągle w trudne metafory. Przez krytyków bardzo ceniony, każdego roku wydaje ambitny jeden tom wierszy. Publikuje w internecie. Tak się przyzwyczaił do komplementów, że chamstwo i pewność wyłażą z niego w sposób zwielokrotniony. Próbowałem się z nim skontaktować, może mi coś doradzi w sprawach literackich. Mejle moje zignorował, potraktował mnie jak powietrze. Nie dawałem za wygraną, przesłałem próbkę swoich utworów do oceny. Na koniec nie wytrzymał i kazał, żebym się od niego najzwyczajniej odpieprzył, bo dla niego jestem zwykłą grafomańską szmatą. Tak się zakończyły moje kontakty z tym twórcą. Widzę go często spacerującego w parku, mijaliśmy się parę razy w miejskiej wypożyczalni. Mijaliśmy się bez słowa, jakbyśmy byli dla siebie gównem lub powietrzem.

NA MOJEJ PROMOCJI

Pojawił się tylko jeden kolega z grupy poetyckiej. Uratował mnie w oczach dyrektorki i dwójki pracowników biblioteki. Puste krzesła i fotele dziwnie się czuły, jakbym miał do nich pretensje. Wielki plakat reklamujący spotkanie szczyrzył groteskowo zęby. Kilka dni wcześniej na innej promocji było tu pełno ludzi. Sala kipiała radością, dumą i gwarem. Zabrakło książek dla wszystkich chętnych. Moja książka poczuła się zdradzona, niepotrzebna, jakby ktoś opluł ją i wrzucił do kosza. To była najważniejsza promocja w moim życiu. Nie zapomnę jej nigdy. Jedna z nieobecnych poetek napisała mi pięknego mejla dzień później. Prosiła, żebym zapoznał się, jak powinno wyglądać zaproszenie i odesłała mnie do specjalnej publikacji o redagowaniu pism użytkowych. I żebym się nie dziwił, że się ludzie na mnie wypięli. Bardzo jestem wdzięczny tej koleżance.

CHOLERNE STRASZYDŁO

Jak to się ubrało. Wstydu czupiradło nie ma za grosz. Co to się wyrabia w tym kraju. A jakie obelżywe zachowanie. Patrz pani na jej skórę, jakie obrzydliwe obrazki, na języku metalowe koraliki. Pewnie rodzice nie mają wiele do gadania lub są tacy sami, a nawet jeszcze gorsi. Upadek moralny w Pol-

sce, pani. Nie ma żadnych świętości. Ani zaraza, ani wojna tych młodych niczego nie nauczyła. Nie ma Boga, nie ma wzorców. W zbytkach kąpie się młodeż, z nudów już nie wie, co ma robić. Ile teraz rozwodów, ile zdrad, ile życia na kocią łapę. Patrz pani jak wykrzywia gębę. Usiadła na motor ze swym potarganym kochasiem. Pewnie będą zapierniczać po drodze i udawać władców szos. Żeby tylko nie byli dawcami narządów. Mam osiemdziesiąt lat i coraz częściej odechciewa mi się wysłuchiwanie stu lat. Chyba czas na przeprowadzkę za tory. Boli wszystko, chorób mam pełno. A pani co, śpi? Cholera jasna, nikt mnie nie słucha, chyba że podsłuchiwała mnie ta młoda ropucha. Idę do chałupy, bo zimno się zrobiło. Jaka ja biedna, jaka nieszczęśliwa. Całe szczęście, że mam swój telewizorek kochany. On ze mną rozmawia i mnie pociesza. Nie czuję się przez to jak w grobie. Chodź pani chodź. Jutro znowu się na ławeczce spotkamy. Opowiem pani coś ciekawego o moim rodzinnym doktorze.

POŁYKAM CODZIENIE TABLETKI

Widać również po nich, jak szybko goni czas. To już piętnaście lat zabezpieczania się przed powrotem zabójczej niewydolności serca. Prozaicznie grypa mnie załatwiła. Jestem pod stałą opieką kardiologa chwającego moją wzorową konsekwencję. Bez alkoholu można żyć nawet u cioci na imieninach. Przyzwyczaiłem się już do długich imprez z wodą sodową lub sokiem. Kiedyś myślałem, że ta podnieta z procentami dodaje mi pewności do dyskusji, że staję się odważny i szczery. Dziś już jestem szczery po trzeźwemu i nie muszę się tłumaczyć z abstynencji. Straciłem przez to sporą ilość kolegów, ale zyskałem życie. Żona powtarza jak mantrę, że jestem potrzebny synom i być może ewentualnym wnukom, choć synkowie niezbyt się śpieszą do żeniaczki. Przyglądam się sobie w lustrze, coraz bardziej upodobniam się do ojczulka. Na plecach wyrosły mi już włosy, nie mówiąc o klatce piersiowej. W ogóle moje wylupiaсте oczy, mój brzuszek, moje rysy twarzy są zdjęte jak z taty. Ojciec też połykał zbawienne tabletki, ale przegrał ostatecznie walkę z cukrzycą. Umarł na tym samym oddziale wewnętrznym szpitala, na którym mnie wcześniej uratowano. Nawet ordynator był ten sam. Mama zastępuje mi ojca, przyjeżdżam często do rodzinnego mieszkania. W mniejszym pokoju stoi do tej pory łóżko taty, a w szafie wiszą jego prawie wszystkie ubrania. Pożyczam sobie od taty koszulki, koszule, marynarkę, jesionkę i brązową kurtkę. Pasują na mnie jak ulał. Pamiętam, że po pogrzebie ojca długo nie wychodziłem z cmentarza, tak jakbym wierzył, że stanie się cud i ojciec wróci z nami do domu. W pokoju ojca stoi ten sam stary dupiasty telewizor i radiomagnetofon Kasprzak. Te sprzęty żyją. Nie pozwoliliśmy z mamą im umrzeć. Sąsiad-

ka z dołu kiedyś zarechotała, że urządziliśmy izbę pamięci. A niech się śmieje. Niech jej pójdzie na zdrowie!

BLONDYNA W ŚREDNIM WIEKU

Rządzi całą klatką schodową i wejściem do niej. Od parteru aż po czwarte piętro ustawiła parzyście kwiaty doniczkowe. Z taką kobietą lepiej nie dzierać, bo jest niebezpiecznie szczerą. Dba o wietrzenie i o chodniczki. Nie ma przed klatką spotkań wieczornych młodzieży, nie ma papierosków. Sąsiad na parterze już nie robi nocnych koncertów muzyki disco-polo. Dostał taki opieprz, że teraz się blondyny strasznie wstydy. Właściciele dwóch piasków starają się jak najciszej wychodzić z czworonogami na spacer. Blondyna udziela wskazówek wszystkim sąsiadom co do zamykania drzwi i zachowania się na balkonach. Nie znosi wulgaryzmów i zwierzęcych okrzyków. Wie, kto do kogo przychodzi. W mig poznaje obcych ludzi. Potrafi zakleść usta drwiącym spojrzeniem, chrząkaniem lub śmiechem przypominającym arię w operze. Mieszka na samej górze z cichutkim, pracowitym mężem, który jak mały chłopczyk grzecznie jej przytakuje. Za dwa miesiące blondyna z mężem zamierzają wyprowadzić się do Gdyni, by być bliżej córki, zięcia i wnuka. Wszyscy sąsiedzi czekają na tę chwilę, jak na zbawienie. Do tego czasu muszą omijać kwiatki ostrożnie, by przypadkiem nie spaść z ich żaden listek.

PRZESTAŃ PISAĆ WIERSZE W JEDNEJ TONACJI

U ciebie albo same plusy albo na odwrót minusy. Jak zaczynasz się użalać nad życiem, to wylewasz hektolitry łez, aby w następnej wymarzonej wersji udawać słodkiego, podskakującego skowronka. Wymioty biorą na taką nadprodukcję kwaśnego octu lub słodkiego miodu. Musisz wypośrodkować własne odczucia, bo inaczej będziesz mało wiarygodny i po prostu śmieszny. Nie jesteś już młodzieniaszkiem, żeby robić takie literackie kiksy. Chętnie przeczytałbym wiersze, w których oddałbyś całe spectrum uczuć, nawet ich brak. Nie obrażę się, jeśli wciśniesz do utworów odcienie szarości. Na nudę i bylejakość też mogę się zgodzić. Tyle już lat stąpasz po ziemi. Oczekiwałbym od ciebie wielu ciekawych, zwykłych historii. Nie musisz sypać złotymi formułkami i strzelać okropnym patosem. Możesz być wredny, to mi nie przeszkadza. Jeśli chodzi o mnie, to też tam coś skrobę. Na nikim się nie wzoruję. Zaproszono mnie niedawno nawet do jurorowania w konkursie poetyckim. Ach, ta dzisiejsza poezja. Pełno w wierszach było trudnych wstawek, jakieś sztuczne popisy. Albo jeszcze gorzej, irytowała udawana skromność, fałszywa, wykoślawiona subtelność.. Na to się nabrać jury nie mogli. Nie z nami

take numery. Wygrała poezja jako obserwacja życia, ale nie tego oglądane-
go w telewizorze. Wielu poetów najadło się obcych tekstów, reportaży, filmów
i na tej podstawie odrobili wymuszoną pracę domową, czyli wypociny w po-
staci wierszy. Wtórność nad wtórnościami musiała zostać ukarana. Nagrodzili-
śmy teksty może i nie odkrywczce, ale takie, które były wiarygodne. Wyobraź
sobie, że główny laureat to dziadek osiemdziesięcioletni, który postanowił li-
teracko zaryzykować. Żebyś go widział na scenie, podskakiwał jak młodzie-
niaszek. Gęba mu się śmiała od ucha do ucha. Wygrał trzema wierszami, któ-
re napisał w poczekalni na stacji kolejowej. Nie marnował wtedy czasu, obser-
wował, jak zachowują się ludzie, co mówią do siebie i w ten dziecinnie prosty
sposób stworzył portrety ludzkie. Dodał trochę przypraw w postaci sarkazmu,
drwiny i groteski. A to spryciarz!

NIE REZYGNUJĘ Z KŁAMSTW

Nie zagląskam smutku. Nie przestanę się dąsać. Nie będę doskonały.
Nie będę dobry dla siebie. Nie odgródzę się od czasu przeszłego. Nie istnieje-
ję bez łez. Nie zachowuję się jak król. Nie przyciągam tłumów. Nie podliczam
sukcesów. Nie wznoszę się dumnie. Nie tnę nieba z rozmachem. Nie pięknieję
w oczach. Nie staram się jak mogę. Nie pokonam ciała. Nie zapowiadam wio-
sny. Nie obejmuję rządów. Nie walczę o przetrwanie. Nie nabiorę innego wy-
miaru. Nie zmieniam puenty. Nie brzmię jak muzyka. Nie czekam na poca-
łunek. Nie trafiam za pierwszym razem. Nie przestaję się bać. Nie potrze-
buję amuletów. Nie stoję w pierwszym rzędzie. Nie zapominam o okropno-
ściach. Nie zamykam się w jednym utworze. Nie widzę aniołów. Nie płonę
jak słońce. Nie budzę się z zieloną głową. Nie ociekam dobrobytem. Nie szu-
kam przyjemności za wszelką cenę. Nie dojrzewam niczym wino. Nie mó-
wię gwiazdom dobranoc. Nie tworzę bajki. Nie rozlewam jadu. Nie przygnia-
tam do ziemi. Nie działam jak łyk szampana. Nie tonę we mgle. Nie dwoję się
i nie troję. Nie stanę się jak skała. Nie będę pierdolić. Nie zatruwam się lekami.
Nie dopiszę się do statystyk. Nie biegnę za cieniami. Nie słucham steku bzdur.
Nie zrobię kroku w tył. Nie pęknię od wewnątrz. Nie odwrócę twarzy. Nie roz-
mawiam z lasem. Nie minę szybko. Nie czytam siebie w odbiciu. Nie drażnię
dłoni. Nie pozostaję sam. Nie odwiedzam końca świata. Nie daję się we zna-
ki. Nie podskakuję i nie szczekam. Nie brakuje mi duchowego żarcia. Nie za-
dzieram z poukładanym światem. Nie wracam pusty z wesela. Nie wykrzy-
czałem jeszcze miłości w transparentny sposób. Nie zna granic moja miłość
do komórki. Nie tracą świeżości moje oczywistości. Nie cenię rozmów, po któ-
rych zaczynam ziewać. Nie testowałem alkoholu w ekologicznych krzakach.
Nie przeklinam życia. Nie trzaskam wstydem. Nie obiecuję poprawy. Nie za-

gnieźdzam się w fotelu. Nie wierzę, że wierzę. Nie zabieram po drodze szarych kamieni. Nie krzyczę na współczesność.

TAKA PRAWDA

Głucha i ślepa. Wybija okna. Znika z radaru. Podnosi się ociężałe. Mruży oczy, żeby coś dostrzec. Prędko nie zaśnie. Nalot dywanowy. Znow się kręci. Patrzy na mnie. Wygraża Bogu. Zamyka oczy. Zabiera się do gry. Jest jak sen. Nasiąka potem. Idzie w długą. Jeszcze się ociąga. Głos jej drży. Odwiedza cmentarze. Śmierdzi i chrapie. Wybuch płaczem. Przeprasza za to, że jest. Próbuje się pozbierać. Odkrywa świeżą bliznę. Nie potrafi znaleźć sobie miejsca. Robi się mniejsza. Zieje czerwienią. Bardzo zmęczona. Boi się na niby. Ulatnia się w jednej chwili. Toczy długą i nierówną walkę. Materializuje się. Najlepsza kumpela. Wydaje z siebie przekleństwa. Wyciąga rękę na zgodę. Nie ma nic na swoje usprawiedliwienie. Nie mówi nic. Osiada na uśmiechniętych ustach. Zatrzymuje zegary. Zrywa się z kuchennego taboretu. Spogląda jakoś inaczej. Łazi nawalona po całym osiedlu. Zapina kurtkę na wszystkie guziki. Penetruje ziemię. Zbiera okruchy wczorajszego dnia. Jest taka nierzeczywista. Przypomina oszustkę. Wymaga wsparcia. Stoi jak wmurowana. Jest wielka, samotna i przerażająca. Jest bezbronnym dzieckiem. Staje się łagodniejsza. Wraca do pustego mieszkania. Dotyka przeznaczenia. Szykuje niespodziankę. Obnaża się do końca. Wchodzi w mgłę. Zbacza z głównej drogi. Zna to miejsce zbyt dobrze. Rozmnaża się i staje się bezczelna. Korzysta z wolności. Nie rezygnuje z kabaretowych prób. Topi się w grzechu. Coś nam się tylko wydaje. Znika w oparach absurdu. Przemienia się w udrękę.

Jak ludożerca chce kogoś zjeść. Oddycha innością. Zastanawia się, co dalej. Ma u niektórych chody. Musi gdzieś mieszkać.

PAMIĘTAM

Pamiętam to łóżko wstydu i to haftowanie na mokro. I te dalsze fazy staczania się w umieranie. W kółko powtarzane czynności, aż do automatycznego zardzewienia. Odblokowane hamulce narobiły hałasu. Ważnego hałasu. Potem przyszła śmierć mamy i zmiana priorytetów. Czekałem w ciszy na szept z tamtego świata. Doczekałem się wibracji energii. Wyraźniej poczułem ukąszenie złotych myśli i jakichś tam uniwersalnych prawd. Migotały mi ciepłem barw i wzorem do naprawienia. Podobno tak to miało wyglądać. Dobre rzeczy upomniały się o mniej silny wygląd. Rezerwy miłości wystarczyły do cofnięcia się w czasie. Rezerwy miłości pozwoliły na dostęp do tamtych kolorów. Stara czereśnia zaśpiewała mi koncert. Dzikie wino zawirowało w powietrzu.

Mogłem z książką na kolanach na nowo obserwować tamten widok. Moja młodość nie przestraszyła się twardych zdań. Byłem dzieciakiem, któremu krew kazała wymierzyć policzek płataniu kłamstw. Nie musiałem nic mówić, bo gałęzie drzew i kwiaty były niemiłosiernie zachwycające. Odslonił się wtedy fragment odważnego raję. Tak to miało wyglądać. Ujrzałem to, czego mi brakowało. Metalowe łóżko na kółkach stało się moim bratem.

TEGO DNIA

Tego dnia cały świat się otwiera. Uderza dziką falą. Wibruje od życia. Na ciszę z rzadka można liczyć. Oszklone drzwi są powodem zaciskania dłoni. Blokują dostęp do świeżego oddechu. Ptaki żyją w tajemnicy przed nami. Pocałunki zmieszane są z ciężarem lat. Bohaterowie ciągle obecni w opowieściach dziadków, rodziców i ciotek. Bohaterowie rodzą się w samym środku pytań. Powstają okna oczyszczone z nerwowej piany. Powstają bogate monologi. Nie mamy w sobie skały, nie mamy w sobie różowego słońca. Drzewo wydaje się krzyczeć i płonąć. Atrakcyjne pary z dużymi oczami wpasowują się w przerywany kurwami krajobraz. Soczewką świata są nasze ostre niedostępne dłonie. Ambicja goni ambicję. Długie jęzory przebijają serca, tak lekko i wesoło. Na piasku z drobnymi kamyczkami lokuje się najczystsza piana. Będzie znikać i przybywać z odległej planety. Będzie przypominać, jak wygląda wieczność, która nie jest wieczna.

DUŻO TEGO

Dużo czasu, dużo zapachów. Godziny niezwykłej drogi. Mobilizujemy się do unoszenia brwi. Wkładamy najwygodniejsze spojrzenia. Całe ciało za nas myśli. Malujemy twarze szpitalem i samotnością. Czarny kolor włosów jest atrakcją i żalobą. Pierwszy seks zostaje do końca życia. Pierwszy seks odwiedza wciąż staruszków. Bogate życie uśmiecha się tylko trochę. Rozbudowany radar wykoślawia człowieka. Wielkie podniecenie jest tylko na chwilę. W pokoju nie ma pokoju. Lustro kłamie i oszpeca. Zabiera urodę. Czujemy przyływ wyrastającej wiosny. Mamy wiele do powiedzenia, siłując się na argumenty. Wyglądamy tak samo i inaczej. Otwarte rany są koniecznością. Otwarte rany to stempel potwierdzający życie. Łopotanie serca zrozumiałe i zarozumiałe. Próbuujemy być modni i nowocześni. Konsekwentnie oszukujemy. Separacja od drugiego człowieka udaje nam się doskonale. Pusty pokój czuje podskórnie za nas. Rozpacz jest tylko przykrywką do omijania wstydu. Własny dom jak żywy trup. Zdziwienie nigdy nie zaśnie. Biały uśmiech naprawdę potrafi być karą dla prymitywnego aktora. Ucz się synku życia, ucz. Łagod-

ność wzrusza. Łagodność nas kształtuje. Kielkuje nasze ciało. Kielkują nasze otwarte twarze. Sami dla siebie jesteście wilkami. W momentach szczególnych wysychamy na niegojący się papier. Codziennie obrysowujemy szarpane dźwięki. Niepotrzebnie płyniemy ulicą. Wciąż przemierzamy udawaną drogę. Wciąż wzajemnie się odpędzamy. Butelka wódki wyeksponowana, by zapomnieć. By zmartwychwstać. Wczoraj na mokrej ławce zasnął na wieki wesoły ptaszek. Bez widzów. Dzisiaj jest piękny dzień. Można udawać słońce.

II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

MAREK KOWALIK

KSIĄŻKA, KTÓRA LECZY

esej

Literatura leczy? Jak można być takim draniem i opowiadać ludziom podobne głupoty? Nie każda. W 59 liście pierwszej księgi *Moralnych* Seneka Młodszy poucza kumpla Lucyliusza o istnieniu literatury niepożytecznej dla zdrowia (*nihil sanantibus litteris*). Co to za literatura? Porady myśliciela są raczej ilościowe niż jakościowe. Oto parę wyimków z pism kordobańskiego filozofa: „Obfitość lektury umysł czytającego przeciąża, nie kształci; dlatego odniesiesz większy pożytek, jeżeli z uwagą przeczytasz kilku autorów, niż jeśli się będziesz błąkać wśród wielu” (*O pokoju ducha*). „[T]rzeba się zajmować umysłami godnymi zaufania i z nich czerpać dla siebie pokarm, jeśli pragniesz przyswoić sobie coś takiego, co by trwale utrzymywało się w twej duszy. Kto wszędzie przebywa, ten nigdzie nie przebywa” (*List 2*). „Supłamy oto węzły i nadajemy wyrazom podwójne znaczenie, a potem to wszystko rozwiązujemy. Czy mamy aż tyle wolnego czasu? Czy umiemy już i żyć, i umierać? Cały wysiłek myśli należy raczej skierować tam, gdzie powinno się troszczyć, iżby nie zwodziły nas rzeczy, a nie słowa” (45). „Oto gramatyk Didymus napisał cztery tysiące ksiąg. Litowałbym się nad nim, gdyby przeczytał ich aż tyle. W tych swoich księgach zastanawia się on nad ojczyzną Homera, szuka prawdziwej matki Eneasza, roztrząsa, co przeważało w życiu Anakreonta, zdrożność czy też opilstwo, stara się wyjaśnić, czy Safona była nierządnicą i rozpatruje inne sprawy, o których lepiej byłoby zapomnieć, gdybyś nawet je znał. Spróbujże mi teraz twierdzić, że życie nasze nie jest długie!” (88). Nie są to dobre wieści dla osób niszczących wzrok przy lekturze. Być może jedynym ich zyskiem jest strata czasu.

Czytanie nie zawsze jest zalecane. Cioran gotów był chwalić analfabetów, ale Seneka nie wymagał tak wielkiego poświęcenia i nie potrzebował tak wiel-

kiego zdrowia. Ten ostatni filozof radził po prostu, jak zachować dobrą kondycję zdrowotną w mieście ogarniętym epidemią studiów literackich. W praktyce wydaje się truizmem, że od sztuki rozpoznawania wartościowych książek ważniejsza jest (lecz i trudniejsza!) sztuka opierania się chłamowi. Coś jednak czytać trzeba. Co?

Senekański ideał czytelnictwa zakłada powściągliwość i dystans. Czytać najlepiej mało i tylko rzeczy absolutnie niezbędne. Z książek powinna wynikać jeszcze jakaś inna prawda niż ta, że książki istnieją. Z zasady chcielibyśmy chyba, żeby książki były dla nas raczej nośnikiem sensu, a nie sensem samym. Kiedy Seneka krytykuje modę na posiadanie dużych księgozbiorów, niewątpliwie chciałby zaszcześcić czytelnikowi przekonanie, że to kłopotliwe towarzystwo stwarza wokół siebie harmider, który utrudnia człowiekowi wysnuć jakiegokolwiek głębszej myśli. Książki przekomarżają się ze sobą, jakby za chwilę miały rzucić się sobie nawzajem do gardeł. Gdybym wątpił w księgozbiór własnego wyrobu, nie pisałbym wcale; a skoro wiem, że w użyciu lektury szkodzi rozproszenie, wobec tego polecam właśnie moje. Łatwo przewidzieć, że wykaz pism leczniczych Seneki zawiera przede wszystkim jego własne dzieła.

Tu dygresja bez wpływu na dalszy bieg tekstu. Umówmy się, że pedagogium Seneki (z czołowym osiągnięciem w postaci Nerona) jest wysoce wątpliwe. Albo to może przestroga dla nauczycieli, żeby nie uczyć wszystkiego i nie uczyć za bardzo.

Gdy zatem ktoś wam będzie wciskał kit, że literatura ma właściwości lecznicze, i równocześnie zaserwuje listę lektur, nie wiercie. W księgarni znajdziecie co najwyżej parafarmaceutyki, suplementy sjesty, nadto — wstyd przyznać — mnóstwo rekreacyjnych dragów.

Jednak historia literatury odnotowała przypadek uzdrowienia. Równocześnie należy podkreślić, że nie tekst objawił w tym przypadku uzdrawiającą moc, lecz sama książka. Zdarzenie miało miejsce siedem i pół wieku temu i zostało opisane w poetyckim wierszu skomponowanym przez króla Kastylii i Leonu Alfonsa X Mądryego (tak jest w polskiej adaptacji, choć przydomek króla „el Sabio” należałoby tłumaczyć raczej jako „Uczony”). Chodzi o pieśń oznaczoną numerem 209 i pochodzącą ze zbioru pod tytułem *Cantigas de Santa Maria*. Tytuł utworu mówi w zasadzie wszystko: *Como el Rey Don Alfonso de Castela adoeçeu en Bitoria e ov’ hũa door tan grande que coidaron que morresse ende, e poseron-lle de suso o Livro das Cantigas de Santa Maria, e foi guarido* (Jak król Alfons Kastylijski zachorował w Vitorii i cierpiał ból tak wielki, iż myślano, że umrze z tego powodu, i położono na nim Księgę Pieśni o Świętej Maryi, i został uzdrowiony). Niemniej tekst wymaga historycznego komentarza. Że król dorabia sobie do pensji pichcieniem liryki religijnej,

to chyba nie jest właściwe ujęcie problemu monarszego piśmiennictwa. Poezja króla jest w pierwszej kolejności poezją króla, dopiero w drugiej reprezentuje jakość literacką. Koronowany trubadur traktował tę prywatną lirykę konfesyjną jako część szerszego programu mającego na celu integrację — na gruncie prawnym, oświatowym i kulturalnym — kraju zjednoczonego po krucjato- wych podbojach Ferdynanda III Świętego. El Sabio postrzegał sygnaturę lite- racką jako swego rodzaju regaliu — gest tożsamościowy spajający grupę ple- mienną węzłem zapisanego tekstu. Pozostawił po sobie dzieła literackie róż- nych gatunków — od traktatów matematycznych, astronomicznych, przez ko- dyfikacje prawne, prace historiograficzne, aż po satyryczne poezje oraz trak- taty hermetyczne. Taką kolejną rzeczą miano kastylijskiego króla znajdziemy w kolofonach dwustu z okładem książek (autorstwo Alfonsa jest dyskusyj- ne; aczkolwiek udział króla w pracach redakcyjnych nie podlega kwestii). Za- początkował prawdziwą dynastię literacką. Kolejni władcy będą parali się pi- śmiennictwem: Sancho IV, Alfons Dobry (aragoński), Juan de la Cerda. Wnu- kiem Alfonsa był Król Poeta, Dinis I Portugalski.

Zbiór *Cantigas de Santa Maria* liczy sobie ponad 400 pieśni. Zgodnie z praktykowanym w rodzinie Alfonsa typem pobożności maryjnej, pieśni stanowią w większej części narracyjne relacje dotyczące cudów dokonanych za sprawą Świętej Dziewicy.

Na co chorował? Na jakie schorzenie pomaga manuskrypt? Nie wiadomo. Wiemy jedynie tyle, ile przekazał tytuł. Tekst nie daje żadnej dodatkowej in- formacji. Oto skrót fabuły. Król zaniemógł w Vitorii (dziś Vitoria-Gasteiz, stolica Kraju Basków), na przełomie lat 1276–77. Zachorował zimą, zdawało się, że umrze. Lekarze ordynowali mu gorące kompresy, ten jednak odrzucił pomoc. Zażądał, aby przyniesiono mu „Księgę” (co to za księga, mamy wyja- śnione w tytule). „Leczenie księgą” polegało na przyłożeniu woluminu do pier- si pacjenta.

Ta książka istnieje, można się do niej przytulić. Towarzyszące teksto- wi *Cantigi* 209 ilustracje pozwalają zidentyfikować tom. Zbawczy wolumin to tak zwany kodeks Toledański. Pierwszy z czterech zbiorów opracowa- nych za życia autora datowany jest na rok 1257. Manuskrypt zawiera 128 pie- śni i znajduje się obecnie w Bibliotece Narodowej w Madrycie (pytajcie o sy- gnaturę MSS/10069). To on był mediatorem cudu w Vitorii. Skądinąd swo- je przywiązanie do tej książki Alfons zamanifestował wzmianką w ostatnim testamencie, sporządzonym w styczniu 1284 roku. Zgodnie z zapisem *Can- tigas* (wszystkie egzemplarze) miały być złożone w miejscu jego pochówku, w sewilskiej katedrze Najświętszej Marii Panny. Literatura jest sztuką pisa- nia prawdy. Ładna to rzecz ze strony autora, że nie chce się rozstawać ze swą książką nawet po śmierci.

Zastanawiające. Mamy lekarstwo, tylko nie wiemy, na co ono pomaga.

Król Alfons nie tylko pisał wiersze. Miał też inne choroby. Na co chorował? *Cantiga* 235 opisuje szereg traumatycznych doświadczeń politycznych, rodzinnych i zdrowotnych, jakie spotkały króla w latach 1269–1278. Za każdym razem Maryja wybawiała go z opresji. Pięć z opisanych cudów ma naturę zdrowotną, a należy podkreślić, że jedno z nadprzyrodzonych uzdrowień zdarzyło się w Montpellier (sierpień 1275), gdzie król miał do dyspozycji medyków reprezentujących przodującą w średniowiecznym świecie akademię. Trzynasta stanca tej pieśni przekazuje ponownie zdarzenie znane z *Cantigi* 209.

Dramatyczna dekada była dla utalentowanego króla okresem kryzysu. Z kolejnych oparów wychodził obronną ręką, ale jego egzystencja straciła impet. To wiemy z lekcji historii. Tymczasem w 1278 roku Alfons nie miał jeszcze pełnego wizerunku własnych ograniczeń. Nic dziwnego, że chciał nadać swemu losowi jaki taki sens. W pierwszych trzech stancach *Cantigi* 235 autor próbuje racjonalizować swój stan zdrowia przez odwołanie do porządku nadprzyrodzonego. Niewątpliwie trzeba się liczyć z tym, że funkcje organizmu należą do zakresu Natury. Inaczej z dysfunkcjami. One stanowią dar Nieba. Przy czym reguła dotyczy kwękania możliwych. Bo jeśli chodzi o biedaków, to ich niedomogi pozostają w zgodzie z porządkiem przyrodniczym; chwile dobrego samopoczucia, oby jak najkrótsze, wynikają z zaniedbań numinalnych urzędów. Alfons dochodzi do wniosku, że cierpienie autoryzuje sakralny charakter królewskiej misji. Oto jego historia: bohater utworu miał w wielkim poważaniu Maryję. Modlił się dzień i noc, by pozwolono mu umrzeć w Jej służbie („morress’ en seu serviço”). Pewnej nocy nawiedził go sen, w którym przekazano mu, że ofiara została przyjęta („ha noite en sonnno llo outorgou”). Tak zaczęły się jego problemy zdrowotne. Od tej pory przedmiotem modłów stanie się wykazanie, że z odebraniem zastawu nie należy się spieszyć.

Zaaplikujmy sobie kawałek w pięknym języku staroportugalskim:

Aqueste Santa Maria mui de coraçõ de pran
loava mais d’outra cousa, e non prendia affan
en servi-la noit’ e dia, rogando seu bon talan
que morress’ en seu serviço, poi-lo seu ben nunca fal.

E desto que lle pedia tan muito a afficou
por esto, que ha noite en sonnno llo outorgou,
ond’ ele foi muit’ alegre, tanto que ss’ el espartou,
e louu poren’ a Virgen, a Sennor espirital.

[Król] wielbił Świętą Maryję z całego serca,
wychwalał ponad wszystko i nie szczędził trudu,
by służyć Jej dniem i nocą, błagając ze wszystkich sił,
by umrzeć w Jej służbie, ponieważ Jej dobroć nigdy nie
zawodzi.

Prosił tak bardzo i nalegał,
aż pewnej nocy we śnie udzielono mu zgody,
wtedy obudził się z radości
i chwylał Dziewicę, swą duchową Panią.

Krótką dygresją natury językowej. Czasownik „outargar” („llo outorgou”), kluczowy w opisie nawiązania relacji między stronami tego niezwyklego kontraktu, pochodzi od łacińskiego „autoricare” (autoryzować, wyrażać zgodę, aprobatę). W średniowiecznym staroportugalskim wyraz ten brzmi bardzo notarialnie. *Corpus Xelmírez*, korpus lingwistyczny średniowiecznej Galisji, podaje następujące statystyki wystąpień: notariat — 5611, historiografia — 294, liryka — 44.

Podobną ideę mamy wyrażoną w różnych miejscach zbioru *Cantigas*, na przykład w siódmej stancy *Cantigi* 200:

A mi livrou d' oqueijões,
de mórtes e de lijões;
por que sabiades, varões,
que por ela morrerei.

Według polskiej adaptacji tekstu autorstwa Pawła Iwaszkiewicza (transkrybując zapis dźwiękowy z płyty CD Maciej Maleńczuk & Consort, *Cantigas de Santa Maria*):

Od wypadków mnie chroniła,
śmierci, rany oddaliła;
wielka jej miłości siła,
przeto umrę na łonie jej.

W dwóch ostatnich liniijkach licencja autora przekładu zbyt śmiała. W dosłownym tłumaczeniu: „dlatego wieście, baronowie [szlachetni ludzie], / że dla niej umrę”.

Trubadurzy znają realia miłości, ponieważ miłość jest codzienną ich pracą. Droga miłości jest drogą cierpień. Standardowo każde zakochanie obniża sta-

tus człowieczeństwa, ażeby implantować miłość w miejsce ubytku. Na co chorował Alfons? Wszyscy chorujemy na miłość. Król zakochał się w Absolucie. Z wzajemnością.

Z pieśni króla przebija obraz Madre Virgen, która wybawia człowieka z kłopotów, ale tylko z tych, w które go uprzednio wpędziła. Nowoczesna diagnoza została oparta na autopsji szczątków el Sabio dokonanej w 1948 roku przez Delgado Roiga. Szlachetne szczątki przedstawiają sobą widok mniej więcej taki, jaki mamy utrwalony w kronikach ostatnich dni Alfonsa. Wielki król padł ofiarą prawdziwej rakowej śmierci. Stał się obrazem Hioba, żyjącym szkieletem, ujemną formą człowieczeństwa. Tajemnicze coś rosnące wewnątrz czaszki wypchnęło mu gałkę oczną z oczodołu i pozbawiło całkowicie zębów. Doszło w końcu do perforacji kości nosowej. Diagnostyczne spekulacje wskazują, że chorobą króla był rak płaskonabłonkowy zatoki szczękowej, który objawia się okresowym narastaniem torbieli ropnych w tkance zaatakowanej nowotworem. Nawroty tej choroby sprawiają dokuczliwy ból, niemniej pęknięcie ropnia powoduje uwolnienie zainfekowanej materii i natychmiastową poprawę samopoczucia. Takie radykalne uzdrowienie faktycznie może być postrzegane w kategoriach cudu.

I stąd pouczenie, że owa Maryja może co najwyżej spowodować remisję, ale procesów naturalnych nie cofnie. I w ogóle samo Niebo — czy zamieszkałe, czy nie — wydaje się nie tylko siedliskiem Natury lub jej częścią, ale wręcz Naturą samą. Faktem jest, że nasz el Rey zawierzył żywot niebiańskiej Patronce i za każdym nawrotem choroby odnosił wrażenie, że Santa Virgen chce go zainkasować w całości, niemniej przedsięwzięte w sukurs modły zmieniają Jej intencje. Intencje, które z czegoś innego mogły wynikać, jeśli nie z tęsknoty za tą epicką duszą. Przecież każdy chciałby mieć takiego fajnego króla do pomocy w domu.

Na koniec odnotujmy, że przypadki Seneki i Alfonsa mówią w zasadzie to samo. Żeby wyleczyć się książką, trzeba ją sobie napisać.

Formalia: Seneka w przekładzie Lecha Jakimowicza (*O pokoju ducha*) i Wiktora Kornatowskiego (*Listy*), koślawe tłumaczenia poezji kastylijskiego króla (za wydaniem Xunta de Galicia, Santiago de Compostela 2004) w wykończeniu autora niniejszego szkicu (o ile w tekście nie wskazano inaczej), dzieje Alfonsa za biograficzną pracą H. Salvadora Martíneza *Alfonso X, the Learned. A biography*, translation by Odile Cisneros, Leiden–Boston 2010.

III NAGRODA

KAROLINA STRONCIWILK

SZKODORADOŚĆ

Schadenfreude. To właśnie czułem, gdy siedłem go odwiedzić. Nikczemną Schadenfreude, wypływającą z najczarniejszych zakamarków mojego wnętrza. Swoją drogą – myślałem – dlaczego to słowo nie doczekało się jeszcze kalki w języku polskim? Wszyscy dookoła mają własne odpowiedniki. Czesi mówią na nią škodolibost, Słowacy škodoradost'. Na Ukrainie jest зловтіха, na Białorusi злараднасць. U Rosjan злорадство. Po litewsku piktdžiuga. Cóż ja mógłbym powiedzieć, gdybym zdecydował się na szczerość? Byłbym zmuszony parafrazować, kluczyć, krążyć wokół tematu, a nie lubię być nierzetelny. Mógłbym użyć wyrazu w oryginalnym, niemieckim brzmieniu, który niekoniecznie zostałby zrozumiany przez mojego rozmówcę. Albo próbować wysłowić się w jego języku, gdybym chociaż wiedział, jak poprawnie to wymówić. Zresztą, szczerość w tamtych okolicznościach nikomu nie wyszłaby na dobre. Kazałem zatem swojej szkodoradości, szkouduciesz czy zlejuciesz, zwał jak zwał, siedzieć cicho i wracać przynajmniej na moment tam, skąd przybyła.

W sali znajdowały się trzy metalowe łóżka na kółkach, z regulacją oparcia, ustawione równolegle względem siebie. Przy każdym stało drewniane krzesło i mała metalowa szafka. Pościel, wymęczona wielokrotnym praniem, dezynfekcją oraz maglowaniem, wyblakła do śnieżnej bieli. Jasnokremową ścianę przecinał w poprzek panel z mnóstwem pokręteł, przełączników i gniazdek. Po przeciwnej stronie wisiał żywiący się monetami telewizor. Zza drzwi zerkały wypchnięte poza margines meblowej socjety umywalka oraz śmietnik.

Usiadłem przy łóżku Dainiusa, przybierając strapiony wyraz twarzy. Wnikliwy obserwator dostrzegłby cechy wspólne w naszym wyglądzie, znaki na ciele, łączące nas jak członków tajnego stowarzyszenia. Podłużne otarcie pod zuchwą i na lewym obojczyku. Maksymalnie krótko obcięte paznokcie. Zgrubiała skóra na opuszkach palców lewej ręki, u niego aktualnie schowanej pod białym opatrunkiem.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Ostatnią rzeczą, jaka przeszłaby mi przez gardło, byłby jakiś komunał w stylu: “Wszystko będzie dobrze, masz całe życie przed sobą, nie martw się, inni mają gorzej”. Nie chciałem mówić żadnej z wyświechtanych jak szpitalna pościel bzdur. Na szczęście on odezwał się pierwszy.

- Dzięki, że przyszedłeś. Jak widzisz, umieram z nudów – powiedział, wela-ryzując głoskę “f”, nadając jej charakterystyczne, kresowe brzmienie.

- Paskudna śmierć. Nie zazdrościsz. Coś ty nawywił? – zapytałem, wska-żując na bandaż.

- Ja nic. To samochód wywinął orła, jego zapytaj – zażartował, choć jego uśmiech po chwili ściał się w ponury grymas.

Nieznamy chłopak na środkowym łóżku parsknął śmiechem, ale nie wi-żąc w mojej twarzy odzwierciedlenia swojej uciechy, zakasłał i natychmiast zatopił nos w książce. Starszy pan, który leżał najbliżej okna, spał, chrapiąc głośno. Dainius zajmował łóżko przy drzwiach. Prawa część jego twarzy, czę-ściowo zasłonięta przez czarną grzywkę, była sina i obrzęknięta. W białku oka rozlewała się czerwień, jak plama krwi na jasnym prześcieradle. To jednak nic. Wiedziałem, że najgorsze kryje się pod bandażem.

Aż trudno było uwierzyć, że jeszcze tydzień temu graliśmy przeciwko so-bie w międzynarodowym konkursie. Dobrze pamiętam jego występ finało-wy. Gdy tylko ucichły krótkie oklaski, towarzyszące wejściu na scenę, salę koncertową spowiła cisza tak wzniosła, że świętokradztwem byłoby kichnąć, chrząknąć, czy choćby ruszyć się na krześle, aby przypadkiem nie zaskrzyphia-ło. Dainius w pełnym skupieniu musnął palcem struny, aby ostatni raz spraw-dzić strój. Odczekał jeszcze dwie sekundy ze smyczkiem zawieszonym po-nad instrumentem, jakby chciał potrzymać publiczność w napięciu. Wreszcie pierwsze dźwięki przecięły ciszę z chirurgiczną precyzją. Kaprys nr 24 Paga-niniego, utwór dla skrzypcowych kamikadze. Wstrzymałem oddech i mógł-bym przysiąc, że nie wypuściłem powietrza z płuc aż do ostatnich nut, sple-cionych misternie w akord A-dur. Staccato Dainiusa było perfekcyjne, bie-głość zadziwiająca, każdy dwudźwięk i oktawa idealnie czyste, diabelsko trud-ne przejścia pomiędzy strunami i zmiany pozycji wykonywał tak lekko i pew-nie, jakby grał dla zabawy, zupełnie się przy tym nie męcząc. W tamtej chwili miałem pewność, że jeśli Paganini swego czasu nie zaprzedał duszy diabłu, to on, Dainius Svetikas, z całą pewnością to zrobił.

Zanim zdążyłem ponownie się odezwać, usłyszałem ostry głos za swoimi plecami.

- Proszę zdjąć plecak z łóżka pacjenta!

- Przepraszam, już zdejmuję – bąknąłem w odpowiedzi.

Do sali weszła korpulentna pielęgniarka z niebieskim czepkiem na głowie, która niczym kelnerka trzymała w ręku tacę pełną kieliszków. Z tą różnicą, że zamiast drinków w plastikowych naczyniach podzwaniały kolorowe drażetki. Minęła ostentacyjnie dwa pierwsze łóżka, jakby zajmujący je pacjenci byli zbyt młodzi na serwowane przez nią specjały.

- Panie Stefanie, leki - powiedziała do mężczyzny pod oknem, szturchając go w ramię.

Mężczyzna chrapnął głośno i zaczął coś bełkotać. Chłopak na środkowym łóżku znów parsknął.

- Panie Stefanie! Proszę się obudzić! Musi pan wziąć leki!

Pan Stefan przetarł dłońmi twarz, sięgnął po okulary leżące na szafce i zdał się, że dopiero wówczas, razem ze wzrokiem, odzyskał świadomość. Z wielkim wysiłkiem podciągnął się na łokciach do pozycji półleżącej.

- Pani zdrowie, pani Małgosiu! - odpowiedział chrapliwym głosem, przechylając kieliszek.

- Do dna. Proszę, pańska woda.

Mężczyzna odkręcił korek plastikowej butelki i pociągnął z niej spory łyk. Kilka kropeł spłynęło po dolnej wardze i wsiąkło w gęstą, siwą brodę. Pielęgniarka umieściła zużyte naczynie na szczycie kieliszkowej wieżyczki, piętrząc się na tacy, po czym wyszła z sali, nie racząc nas ponownym spojrzeniem.

- Młody, masz dwuzłotówkę? - odezwał się pan Stefan, patrząc na mnie.

- Sprawdzę - odpowiedziałem, przeszukując pośpiesznie kieszenie. - Niestety, nie mam.

- Szkoda - westchnął i zapatrzył się w okno.

Zrobiło się niezręcznie. Rozmowa z Dainiusem się nie kleiła, przypominała wyrabianie ciasta z użyciem zbyt dużej ilości mąki. Kleciliśmy nieudolne zdania o uczelni, wspólnych znajomych, szpitalnym jedzeniu. Same ogólności. Równie dobrze moglibyśmy nic nie mówić. Zastanawiałem się, po co w takim razie kazał mi przyjść. Wiedziałem o nim niewiele. Tyle tylko, że pochodził z Litwy. Jego matka była Polką, dlatego bez problemu posługiwał się polszczyzną. Studiowaliśmy na tym samym kierunku, zamieszkiwaliśmy jeden dom studencki, choć każdy z nas na innym piętrze, czasem spotykaliśmy się przypadkiem na imprezach. Jednak nie nazwałbym nas przyjaciółmi. Właściwie unikałem jego towarzystwa. Miałem wrażenie, że roztaczał wokół siebie aurę. Czułem się przy nim mały, naiwny i śmieszny, jak niedouczony student, świecący oczami przed profesorem na egzaminie.

- Mam do Ciebie prośbę - zagaił nagle. Spodziewałem się, że to zdanie prędzej czy później padnie.

- Jaka? - zapytałem niepewnie.

- Przywióźłbyś mi moje skrzypce?

Zwariował, pomyślałem. Postradał zmysły. Wyparł z pamięci fakt, że w wypadku stracił palce. Uderzenie w głowę musiało być widocznie silniejsze, niż można by wnioskować z obrażeń. Musiałem niechcący spojrzeć na niego wymownie, bo po chwili wytłumaczył.

- Nie chcę, żeby leżały w akademiku, jeszcze ktoś mi je podwędzi, wiesz, jak jest.

- No tak - odpowiedziałem niepewnie, nieprzekonany co do tego, czy szpital w istocie będzie lepszym miejscem przechowywania drogiego instrumentu. Stwierdziwszy jednak, że właściwie nie jest to mój interes, szybko dodałem:

- Nie ma sprawy, mogę ci je podrzucić, jeśli chcesz.

- Dzięki. Matas, mój współlokator, wie, gdzie leżą. Pokój 328.

- Jasne, jutro ci je przyniosę.

- Dziękuję jeszcze raz, to dla mnie bardzo ważne.

Nazajutrz rano poszedłem na uczelnię. Ze wszystkich mównic, krzesel, ławek na dziedzińcu rozprawiano o czterech palcach, wypadku samochodowym i zaprzepaszczonego talencie. Wzdychano, marszczono brwi, kręcono nieśpiesznie głowami. Nie miałem tego dnia ochoty grać. Tryle w sonacie g-moll Tartiniego, którą aktualnie szlifowałem, niesamowicie mnie męczyły, czułem, że plątają mi się palce, a nuty drepczą po pięciolinii jak długonogie pająki. Cieszyłem się, kiedy po zajęciach mogłem wreszcie wrócić do domu studenckiego.

Gdy zjadłem prowizoryczny obiad, gotowe pierogi z jagodami, zamknąłem pokój i wyruszyłem na trzecie piętro. Kroczyłem długim korytarzem, do złudzenia przypominającym ten na parterze. To samo światło przebijało się przez rząd okien po lewej stronie na szereg ponumerowanych drzwi znajdujących się po prawej. W powietrzu unosił się mdły zapach mięsa smażonego na oleju. Z pokojów i sali do ćwiczeń dochodziły dźwięki kłócących się instrumentów. Zapukałem do podejrzanego cichego 328. Przez długi czas nikt nie otwierał. Już miałem odwrócić się na pięcie i wracać na schody, gdy nagle klamka się poruszyła i zza drzwi wychynęła głowa, otoczona burzą ciemnych włosów, skreślonych w ciasne pętelki.

- Cześć, przyszedłem po skrzypce Dainiusa - odezwałem się.

Mój rówieśnik odpowiedział coś w języku, którego nie rozumiałem. Przeszliśmy na chaotyczną mieszankę polskiego, angielskiego i niemieckiego. W końcu dał mi ręką znak, żebym wszedł do środka.

- Paweł - wyciągnąłem dłoń w jego kierunku, przekroczywszy próg.

- Matas - uściśnął ją, uśmiechając się przyjaźnie.

Łóżko Dainiusa było niezaścielone, jakby wyskoczył z niego tylko na moment. Koldra leżała zmięta obok opartej o ścianę poduszki. Pościel sprawiała

wrażenie jeszcze ciepłej, mógłbym przysiąc, że na materacu widać zagłębienie w miejscu, gdzie niedawno spał. Na tablicy korkowej ponad łóżkiem wisiało kilka zapisanych karteczek z mnóstwem dat, nazwisk i miejsc. Przypominały o spotkaniach, które się nie odbędą, egzaminach, do których nie podojdzie, koncertach, w których nie zagra. Przez głowę przeszła mi myśl, że w niektórych pewnie zajmę jego miejsce. I znów poczułem szpetną radość.

Matas schylił się i wyjął spod łóżka futerał, wyścieloną zielonym aksamitem trumienkę, porośniętą z zewnątrz cieniutką warstwą kurzu. Delikatnie chwyciłem plastikową rączkę, podziękowałem nowemu znajomemu po niemiecku i wyszedłem z pokoju. Od razu udałem się w stronę szpitala. Futerał był co prawda wyposażony w szelki, ale miałem z sobą również plecak, do którego włożyłem portfel i woreczek wypełniony dwuzłotówkami.

Zastałem Dainiusa w identycznej pozycji, w jakiej go zostawiłem. Gdyby nie zmiana koloru sińca na twarzy z fioletu na zgniłą zieleń, mógłbym odnieść wrażenie, że nie było mnie zaledwie kilka minut. Leżał, oparty o poduszkę i czytał książkę, tę samą, którą ostatnio widziałem w rękach chłopaka ze środkowego łóżka.

- Dzień dobry - powiedziałem, wchodząc do sali.

- Dzień dobry, cześć Młody, o, Paweł! - przywitało mnie niezgrane trio.

Usiadłem na tym samym miejscu, co ostatnio. Igrając z ogniem, futerał oraz plecak położyłem na łóżku.

- To dla was, za pamięci - powiedziałem, wyjmując z plecaka woreczek.

- Dzięki, Młody, dobry z ciebie chłopak! - odrzekł pan Stefan, by po chwili odwrócić się w stronę środkowego łóżka. - Marek, wrzuc jedną, zaraz będą wiadomości.

Chłopak posłusznie wykonał polecenie, a później podał pilot panu Stefanowi. Ten zaczął skakać po kanałach tak długo, aż na ekranie pojawiła się sylwetka gładko uczesanej prezenterki. Pan Stefan ściszył odbiornik na tyle, aby nie przeszkadzał nam w rozmowie. Zaczęliśmy więc mówić z Dainiusem o czymkolwiek, podobnie jak ostatnio - o jego współlokatorze i o tym, że wszystkie piętra w akademiku wyglądają podobnie. Nauczony doświadczeniem przeczuwałem, że to tylko preludium. Kiedy w końcu długa pauza wcisnęła się pomiędzy nasze zdania i za nic nie chciała wypełnić się dźwiękiem, Dainius zapytał, wskazując na instrument:

- Mógłbyś mi je podać?

Nie podobał mi się ten pomysł. Ostatnie, na co miałbym ochotę, to niezręczna, łzawa scena ze skrzypcami w roli głównej. Nie miałem jednak odwagi dopytywać o cel prośby. Gdy otworzyłem futerał, moim oczom ukazała się lutnicza perła, przepiękny instrument, stworzony ręką znanego mistrza. Pudło rezonansowe, wykonane z sezonowanego świerku, lśniło lakierem z natural-

nych żywic. Oczyma wyobraźni widziałem, jak maestro godzinami żłobił dłu-tem milimetr po milimetrze zagłębienia w drewnie, zdmuchując trociny, zwi-nięte w drobne loki. Rzeźbił misterny kształt ślimaka i wycinał nożem lutni-czym efy, nieco bardziej strzeliste, niż w klasycznych instrumentach. Z ka-wałka palisandru stworzył podbródek, natomiast do wykonania podstrunnicy, strunociągu i kołków użył twardego hebanu. Łączył drewniane elementy kle-jem z kości wołowych, przygotowanym według własnej, pilnie strzeżonej re-ceptury. Gdy umieszczał w skrzypcach duszę, mały patyk, przenoszący drga-nia z górnej płyty na dolną, musiał oddać im fragment własnej duszy. Moje, wykonane fabrycznie, prezentowały się przy tamtych jak kiepska imitacja.

Wyjąłem instrument delikatnie, niczym niemowlę z kołyski i podałem Da-iniusowi do zdrowej ręki. Położył je na swoim brzuchu, prawym kciukiem lekko przeciągnął po strunach, pogładził pudło rezonansowe.

- Zagrasz mi Paganiniego? - zapytał nagle.

- Co? - wykrztusiłem.

- Tylko parę taktów, proszę.

- Ale teraz?

- Teraz.

- Przecież wiesz, że nie mogę, nie tutaj - powiedziałem, wskazując głową pana Stefana i Marka.

- Zagraj, młody! Jeszcze nigdy nie słyszałem skrzypiec na żywo - wtrącił się pan Stefan, wyłączając telewizor. - Chętnie z Markiem posłuchamy, co nie, Marek?

- Jasne!

- Proszę, zrób to dla mnie, chociaż początek - nalegał Dainius.

Asertywność nigdy nie była moją mocną stroną. Delikatnie ułożyłem skrzypce na ramieniu. Broda wlała się w podbródek, jakby został wyżłobio-ny specjalnie pod kształt mojej szczęki. Sięgnąłem po smyczek, nieco cięższy od mojego i po cichu zagrałem temat. Włosie ledwo muskało struny. Zawaha-łem się.

- Dalej, młody, jeszcze kawałek! Oddaj staruchowi tę drobną przysługę - nalegał pan Stefan.

Spojrzałem na Dainiusa, skinął głową. Wziąłem ponownie instrument do ręki, zacząłem pierwszą wariację. Staccato mimowolnie brzmiało dość gło-śno. Nagle zza pleców usłyszałem znajomy głos.

- Co pan wyprawia? - do sali wbiegła pani Małgorzata. - Proszę natych-miast przestać! Tu są chorzy pacjenci, którzy potrzebują odpoczynku!

- Pani Małgosiu, chorzy pacjenci nie robią absolutnie nic poza odpoczywa-niem. Nawet telewizja jest płatna, a tu koncert za darmo! Niechże się pani zli-tuje i pozwoli nam wysłuchać chociaż jednego utworu do końca.

- To szpital, nie ośrodek wczasowy, panie Stefanie.

- Jeden utwór, pani Małgosiu, tylko jeden, słowo honoru.

Pielegniarka chwilę stała nieruchomo z zaciśniętą szczęką, po czym westchnęła i powiedziała cicho:

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – wyszła i zamknęła drzwi.

- Nie przejmuj się Goską, Młody. Już się na niej poznałem. Zgrywa jędzę, a w rzeczywistości równa z niej babka. No, dalej, graj!

Moja broda ponownie spoczęła na podbródku. Z każdą kolejną wariacją czułem się pewniej. Napawałem się głębokim brzmieniem jak nadmorskim powietrzem. Czułem, jak dźwięk rezonował w moim ciele, fale akustyczne drgały w kościach. Po chwili zapomniałem już, że stoję przy szpitalnym łóżku. Równie dobrze mógłbym występować na wielkiej sali koncertowej, grać przed komisją konkursową albo w przejściu podziemnym wielkiego miasta. Gdy skończyłem, przezroczysta kropla spływała mi z czoła, a panu Stefanowi z oka. Zza ściany rozległy się oklaski. Ktoś zagwizdał.

- Chcę, żebyś je zabrał – powiedział Dainius.

- Jednak nie chcesz mieć ich tutaj, w szpitalu? – zapytałem, skołowany, ocierając dłonią pot ze skroni.

- Chcę, żebyś je wziął na stałe. Są twoje.

Teraz już nie miałem wątpliwości, że stracił rozum.

- Żartujesz? Nie mogę ich tak po prostu zabrać! To drogie skrzypce.

- To porządne skrzypce. Mistrzowskie. Dlatego chcę, żebyś to właśnie ty na nich grał. Któż inny potrafiłby wydobyć z nich taki dźwięk? Nie chcę, żeby marnowały się w rękach jakiegoś żółtodzioba.

- Możesz je przecież sprzedać.

- Nie chcę ich sprzedawać – westchnął ciężko. – Kto, jak kto, ale akurat ty powinieneś to zrozumieć. Po wypisie ze szpitala wyjeżdżam na Litwę. Nie wrócę już na uczelnię. Proszę, po prostu je weź. To prezent.

Ścisnąłem skrzypce w dłoniach. Pragnąłem je zabrać, spakować czym prędzej do futerału, aby zaraz wyjść i móc zacząć nazywać je swoimi. Zawahałem się jednak. Spojrzałem na Dainiusa. I jeszcze raz na instrument. Nagle zdało mi się, że z każdą sekundą coraz bardziej mi ciężą, jakbym trzymał w ręku nie drewno, a kawał ołowiu. Czułem jak boleśnie wgniatają mnie w krzesło, z trudem łapałem oddech. Ręce zaczęły mi się pocić, przed oczami zrobiło się ciemno. Po chwili wszystko zlało się w czarną plamę: Dainius, jego skrzypce i cała szpitalna sala. Zamknąłem oczy i oddychając płytko jak ryba wyjęta z wody, skupiałem się, aby nie zemdleć.

- Młody, co z tobą? – usłyszałem z oddali, jakby z innego świata. – Marek, dzwoń po Gosię!

Zanim zdążyłem się zastanowić, instynktownie odrzuciłem skrzypce, jakby parzyły, szczęśliwie trafiając nimi w łóżko. Spoczęły bezpiecznie w miękkiej pościeli. Chwyciłem do ręki swój plecak i na chwiejnych nogach, jak pijany, wyszedłem pośpiesznie z sali.

Nigdy więcej nie spotkałem żadnego z nich.

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

HANNA MAKURAT-SNUZIK

DZÉNNIK W DZĄCZNOŚCĚ

W dzénnikù wdzącznoscë zapisywóm
kòzden dzéń, jaczi je rôz w zęcym.
Wszëtczë kùszi węcëskóné
przez miłotã na skarnie. Niepùsté
piersë wëfùlowóné wcyg czims zëwim.

Dzàkùjã za swiãtë apfelzynë
i zjadlë krutë bananów.
Za to, kògóm jem. Za to, kògóm nie jem –
nie dój Bòże – rozklòdającym sã całã
bùlwë w trëmie smiecëcha.

Dzàkùjã nôbarzi wszëtczim,
dzàka chrërnym jò òprzestòł rechòwac
lëstopadnikòwé smãtchi na mapie mégò zëcò.

Pò kòzdim przebùdzenim dzàkùjã,
że nie jem jednym z przedmiotów
zëwëch jak kamién, jak raca.

Wëprostowóny jak Wasta Cogito,
bez niżòdny gòdczi i z letką chòcbë wiarã,
jidã nawetk nimò że jaczis deszcz gdzes cãzi.

A jezlë jò padnã, niech pòwstónã.
Bez niżadnëch wzglądów, bez pòspiewkù.

Czej jem, twòrzã wid. Nié leno
gò wchlóniwóm, ale bije we mie jegò zdrzódlò.
I trzimie mie ta swiatłosc i swiãda.

W nieskùńczonosc – zdrzã – w òczë prôwdë,
nawetka w czas apògeów jeseni.
A pòtemù, czej ùmrã mòże, téż bãdã wdzãczny
dëcht jak pra-stòri pùjk Mrëczësłòw,
chtërnémù chtos zapòlił znit
dobro-serdeczny. Na wieczną dobrò-noc.

MIŁOTA DO NÔDALSZICH

Nie je wiôlgą ani głupą
miłotą – niemiłotą.
Nie je przelotnô jak dzękô kaczkã
òsazonô na skrzydłach,
wëmalowónô w galerii ptôchów.
Ani brawùrowô, ani romanticznô.
Nie jezdzy na Harleyu.
A nie zbiérô skwiérczów.

Kòchô sã niã w piërszi rédze tëch,
chtërny nie zasłużëlë. Abò zasłużëlë
na zerowi współczinnik wespółczëcô.
Nówóznieszich przesprôwców w zëcym.
Zacwiardzałëch. Jak kamianné aniołë Tartaru.
Nôdalszich. Bò pòtknãlë sã ò krziwdã lëstków.

Przez swietlné lata nie-martwégò czasu.
Bëlë kapłanama na wësëpischczach zła.
Nimò wszëtkò niech jima mlëcze dajã mlékò!
Niech jima spiëwë nocy niebò
niespłoszonëch skórców chùrà!

To jiny òrt wëznaniégò.
Wërosli rëchli jakno brzôd
robòtë z gwôsna cëniã,
cobë òtrzcëc sã ò metafizykã
tegò czasu, co dlô kòzdégò sã stôł.

Hewò je so takô miłota,
jakò przebijô sã przez strach dëcha,
bë rozwinãc sã w òkrëszëniã wëtãżony czãstëci.
Jakbë swiatłosc (co w dëszë sã zasmiała),
serdeczno biegnãcô przez serco-wòdë.

Hewò je so takò miłota,
chtërna znaczy dërzén dësżë.
Pełno-stón. Bënëdëchòwi
miãséń – zżëti ze strukturą głãbie.
Bòldzò w symbioze z lëftã
nëkajãcò za mòlim słuicã, bë pò-dac je dali.

Pò-słac. Pò-czinic pòsobné kroczi.
Pò-stawic. Na pòdwëszënie dërzén cwëkù.
Jak kropkã, pùntk swiãtoscë.
W galerii bëtu, swiatio-ògrodze.
Je bòdòj takò jak miliòn.
Niedowòrtinionò artizna nëch czasów.

Miłota do nòdalszich.

COS SWIĄTEGÒ JE W CZŁOWIEKÙ

Cos swiãtegò je w człowiekù,
cos wiãkszégò niglë rëch miliardów
kòmórków i zródłów cwëkù zëcò
plënacëch w miãszu lëdzczych całów.

Nibë człowiek je leno môłim
przëwãdrã zdłużã oceanu,
epizodã bezmionowi historie,
nòrzãdlã kònfìguracji systemù,
kòlonizatorã wszechswiata.

Ale naròz bawi sã swòjim jistnienim
bënë niepòchwòtny krëjamnotë,
mającë starã dotrzëc do stanu głãbie.

Piechti przechòdò sã szasëjã Niebezpiecznym,
spieszacë sã przë tim w starnã zwiartégò nieba.
Jaz je widzec słuic i gwiòzd zadzëwòwanié.
Hewò smiertelnik ze smrokù wëjimniãti
wëpòwiòdò zdania wieczné.

Nieròz w bólëcë je w sztãdze wiele razy
przekładac swòjã smierc na pòdze.
Nieròz lezi w deszczach łzów,
za drëdzim razã ze szczescò je czësto òd se
jinak nigle na przëmiòr ptòchë,
jaczé ni mògã sã smiòc ani plakac,
bënòmni w dzysdniowëch czasach.

Lëdzkò dësza zòs rosce
dzãka òpadóm bólu i widu,
cobë pòtemù stac sã stòrã sãsòdkã smiercë.
Nawetka czej czedës jawerno ùmrze,
na drëdži dzëń w swiãtoscë òdroscë
wëgrzebónò z czòrnégò lëstopadnika.

WICYG PISZĀ TĀ SAMĄ WIÉRZTĀ

Wcyg pizã tã samą wiérztã,
w jaczi òtmieniówóm jawernotã
przez przëpòdci.
Bez zòczątkù i kùńca, bez pòspiéwkù
ùczã sã miłotë òd kòchającëch.
Dzëń w dzëń òdkriwóm półgãbk malbrónczi
do pòcałowaniégò. Ritualno
czinnosc nã pòwtòrzóm w ùprocëmniem
do całégò swiata. Czedë je to mòżebné,
ùczã sã człowieczëznë òd zëjącëch.
Chòc wiém, że wszëtkò trzeba òdcerpiec samémù,
rozmiëjã téz, że całosc tegò wszëtczégò
czedës bòlesno mùsi sã skùńczëc.
Kòzden dzélëk swiata, jaczim jem jò czë të,
wëgasnie razã z subskripcjã zëcégò.
Zatrzimò sã gdzes
bez nikògò kòl òglëchli ju wiater.
Dlòte pòkãdka jesz mògã òtmieniowac
zëcé, pizającë nã wiérztã,
jò bë chcòł zabòczëc wszëtczé rozszòlalé stanë,
i òdnalezc dobri sztòłt dlò spików nòmilszich.
Jò bë chcòł móc jesz barzi starowno
zazdrzec pòd skòrkã pòczestnémù słuńcu,
chòc pròwdã je, że nick nie dérëje
tak wielefarwno i szëkòwno jak w rojeniach.
Nick nie dò sã téz pòznac do kùńca
ani na pamiãc, nawetk przë nòpilniëszzi ùczbie
rozmajitëch gatënków a strachów pòwszëdnëch.
Dlòte całim sercã teròzka,
nawetka chòc mie sã ju nie chce,
wcyg pizã tã samą wiérztã,
w chtërny òtmieniówóm jawernotã,
cobë stała sã lepszim przebudówónym wiòlgòswiatã,
bez niżòdnëch smierconosnëch strachów.

NAGRODA ODDZIAŁU ZRZESZENIA
KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

ADELA KUIK-KALINOWSKA

DELĚ MIE JIGŁĂ...

Delě mie srěbrzny drucěk
jaczi z pŏlcŏw na děle ùcěkŏł
w szuflŏdze na dnie nalazła jem
stŏrą pŏdrědzewiałą sztěpŏwkã
co miechě strěflŏw retowała
a zěmnym nogŏm dała cepłŏ.

Wez tatinkù na tã wiŏlgã wŏjna
wełnianě strěfle w te czŏrně skŏrznie
bãdã cě je na szpicach wieczŏr wiãzła
czej w nich dzurã nalězesz
pŏměsl ō swŏji cŏreczce i srěbrznym drucěkù
jaczim przě twŏjich nogach ōna wiedno je.

Ōna tam z tobã ti zěmě na gŏrze stojala
za wiŏldzim swiatã ōdemkła szerok ōczě
mŏże ce ùdrzi mŏże krziknie co... –
w piersach sěł dŏ ji zěmny wiater
mŏja sztěpŏwka w strěflach tatinkù
zawrze wrota zěbù i twŏji smiercě – mŏże?

WILJO PRZEBĄDZ DO NAS...

W tã Wiljã
wiater klepôł w dwiérze
a z lasu węcé wilków
zwiastowało cemnã noc
strasznô noc, zëmnô noc.

Taléř na sankù
biôłô deka w damastowé jiglë
zesztiwniała z zëmna
chòc bëła ju krochmalonô
bëła ju namienionô.

Jeden môł pùsti
a òpłatk dlô wszëtczych
tëch ò cemnym licu
i przelãklëch òczach
pòmizde drutama wëstôwielë.

Wëleniałô wilczëca przë dzurze
w płoce z drutama i kòlcama
zlizywała płacz i wëzëblé rãce
ach wzdichaniô i płaczów lëtaniô
Bòże Malinczi gdzes sã narodzył?

Lëdze sedlë do cepli wieczere
prosząc gwiondzã do swòji kòlãdë
cëchô noc, swiãtëchnô noc
nié wszëtcë żdają i nié wszëtcë spią
leno proszą i jesz dichają.

W ceplim kùmkù, z pòchã sankã
Môłé Dzecã sã dzys zôli
mëmkkò, mëmkkò, mòja mëmkkò
dôj jim lëżkã ceplã dekã
i miłotã w swiãtã noc.

MÓJ ZŁOTI WARKOCZ

Plotła jem jemù mój złoti warkòcz
ten pszéniczny kłos
chtëren miół dac nama chléb
i wëzewic na wiedno.
Brała jem z jegò kłosa jãdrzné zôrno
i paluszkama sygała do Twòji lëpë
bë naznaczëc nas na wieczni
abë të zôrno naszi miłotë
mógł szmakac òb długą drogã
i żëwic sã nim na pòstny wieczrzë.
Rzeczysz mie że zôrno z mòjégò kłosa
chòwómë w szelbiągù w złoti waze
czasã na lepszé czasë na zòpùstë
jinym razã na gòdë w jablónkòwim sadze.

W samã pólnoc wëcygóm spòd pòdëszczy
dozdrzeniałé zôrno i ùklòdóm je
pòmiedzë mléczné piersë i cwiardé bardówczy
i zdajemë żniw pòzérając wësok na wid Wenus
ùszë nadstòwiómë czë zôrno wëdò nama miłotë kłos
szepczã do twòjégò ùcha, że nie jem ju sama.
Dòsz temù wiarã?

Abraham wzał kòsã i ùszedł w pòla czësto z rena
a jò w dãbòwëch dëlach rodzëła zôrno pszénicë
bëło mòkré i spiącë, przëklejoné jesz do mòjégò brzëcha
òdemkło òkò, w jaczim ùzdrza jem Izaaka.

SPÒTKÔŁA JEM SWIĄTÉGÒ

Pòdòj mie proszã
gałązkã òliwnã
z kwiòtuszkama z môlim òczkã na piersconkù
żebë jò mògła węcësnãc ji seledinowi sok
i wprowadzëc w krwiobiég mòjégò cała
Swiãti Frãceszkù, pòdòj mie.

Pòdòj mie jesz rôz proszã
pizsk miody złoti pszczolë
bë mia jem sëlã na daleką drogã i rozmëszlania
ò żëwòce malinczych jistotów
ò jaczich Òn szeptòł wiedno na ùchò,
czej jem sa zgùbiła w ògrodze.

Na miedzë przë dzëczy krëszce
gdze dzewanna i rutka cëchùtkò rosłë
i mùjkalë môj biòli serdeczny pòlc na prawi rãce
zankła jem òczë i Òn bëł cëniã krëszczy na mòji lësënie
rzekł, że żëwòt wszëtczich je jednotã
i ni ma pòmizdë nama zòdny rësë i skazë.

Jistnienia w niebie i na zemi ùcztëjã
a jò razã z nima pijã brzozowi sok brunã słomkã
zdebło jem markòtnò bò jem nie widzała wschòdu słuńca
jakkë niebò zamkło jemù wrota na zemiã
mój Swiãti zriwòł dzys w nocë kòrtë kalãdòrza z szãtopiërza
a ò pòrénkù mùjkòł sërbrné kòszulczy rëbów.

Chca jò bë wiedzec ò Jegò pròwdze
jak rosc i gałązkã òliwnã mùjkac niebò
bawic sã w chòwónégò z chmùrama w prawò i w lewò
na skrzydłach jaskòlczì ùlecec z dësã Swiãtégò
a z żëwima na klëwrowi łãce òdszëkac taczi môl
dësza z cała ùlecała z ptòszënë hen... dalek.

NAGRODA ODDZIAŁU ZRZESZENIA
KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

KATARZYNA MYSZK

SWIĘCA DÔWNĚCH CZASÓW

Jes mòją pamiãcą
czej tak so sedzała òcemnicë
kòl starëszczy kòl piécka,
wkòl wespółminków, wkòl płomów
a westrzód òpówiesców, krëjamnotów, cësze, cepla...

Òbjimóm jesz dzysò
dôwné płomë
skrë
gòdaniégò ògniszczã w piéckù

Stojã w tim czasie
prostim
czej swiëca

Wëpòliwóm namienienié czasów
wcyg le terò

pòli sã pòcha nëch czasów
czej le gòdóm kòl piécka
nie przinǳe czòrny kòt
òpówiescë mòje i starczy
pòlã sã z ògniszczã
a ùszłota je terò
w tësãcach skrów

ÒDDZÃKÒWANIÉ

Tak drãgò je ze spikù
ùzdrzec swiat bez jedny pòlący swiécë

jakbë wczora to bëło
pòtkac òczë dërchajacé nòdzeją na witra
bëc kòl skrów mòdrëch òczów
tak mòckò mòdrëch
że ju sã w niebò zjinaczëjë

jak tej pòwiedzec do ùzdrzeniô
tak zarò terô
le to jesz ni miało bëc terô...

wspòminczi dobrégò są
dotikanim wëpòlonëch swiéców

tëli ju tëch mòlczacëch swiéców
za mnã... przede mnã...

a stojacë w rëdze
midzë
wiãkszim i miészim płomã
zdrzã i dotikóm cepła nòdzeji
wiecznégò Terô

SWIĘCZKA DLÔ ŻĚJĄCĚCH

nôlepi tak we dwa widë
czej przëchôdô nen czas
i ta pôcha jak wiedno

stówóm kòl tëch kamlotów
ùstawionëch réga

òczë widzą malinczi płom
na râkach sã cepło robi
ùszë kôrbią z cëszą trëmów
ùsta môłczą gòrącą mòdlëtwą

wiele ju je tich co nie gôdają
a są
jesz kamë ò nich co pòwiedzą

pòmión swiadë ò ùmarlëch
a jesz tëch na granicë swòji drodżi
parłãczy sã z deszczã
tëch co wiedzą, że są ùmarli
dlô swiata
drobnëch lëstów

òstôwióm malinczi płom
dzãkùjącë za zéńdzenié
zdającë na pòtkanié

PŁOM ŻĘCÉGÒ

Zapłonął jes nôpierwi
biółim, czëstim, niedowinnym płomã
i ten blôsk wiecznoscë
òstôł na wiedno

Zapłonął jes
redostnym, biółim płomã
sparłãczeniô z Drogã

Zapłonął jes i ùdrzôł
czerwioné, mòcné skrë
Dëcha Miłotë

Mòc swiëceniô
pòkôzała sã w tobie
rozpùszczajãcë sã
w żółtim płomie
pôchnącym pszczołową robòtã

Gasnął jes pòmalinkù
dlô jinszych
czasã wëżłobiony
zdôł jes na swój kùnc

Przëszedł jes do...
nôwôzniészégò sztóta swòjégò bëcô
zgasł jes
jak ten cemnogromiczny płom

I zaczął jes terô
PÒ PRÓWDZE
płonac, żęc

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA DLA TWÓRCY Z ZIEMI LĘBORSKIEJ

PAULINA CZAJKOWSKA

NA SZCZĘŚCIE

W piętrowym domu położonym w samym środku wsi mieszkał Edmund. Najpierw z rodzicami i rodzeństwem, rzecz jasna, potem, gdy się ożenił, razem z żoną i dziećmi. Ale lata leciały, życie upływało i rodzicom się zmarło. Podobnie jak i żonie. Dzieci rozjechały się po świecie, a wnuki Edmund widywał jedynie na zdjęciach lub na ekranie telefonu.

Samemu ciężko byłoby Edmundowi utrzymać dom, zwłaszcza z jednej skromnej emerytury, dlatego kilka miesięcy po śmierci żony zaproponował swojemu młodszemu bratu, by ten wprowadził się do ich domu rodzinnego. Gienek był młodszy od Edmunda o trzy lata. Pływał po świecie jako marynarz i może dlatego nie założył nigdy rodziny, choć ich siostra Helenka przez lata powtarzała, że Gienek na pewno ma jakąś babę i dzieciaki w afrykańskim porcie, a kto wie, czy nie kilka nawet. I ciągle drżała, że któregoś dnia przyjadą do wsi czarnoskórzy bratankowie domagający się pamiątek rodzinnych, pierścionka po babce Teresie, albo kompletu sztućców, które Helenka dostała w spadku po mamie. Żadne dzieci, czarne, czy białe nie przyjechały jednak, a Gienek, który w końcu również przeszedł na emeryturę, chętnie skorzystał z propozycji brata.

Jako dzieci specjalnie za sobą nie przepadali. Gienka ciągle wszędzie było pełno, nie mógł wysiedzieć na miejscu i nieraz wpadał w różne kłopoty. A to sąsiadowi połamał czereśnię, bo wspinał się na drzewo, by narwać sobie owoców. Albo podrzucił sąsiadce do kurnika łabędzie jajo i sąsiadka mało zawału nie dostała, gdy wykluł się mały łabądek. A ile razy wdawał się w bójki z chłopakami, to Edmund nawet nie byłby w stanie zliczyć. On sam, Edmund, był zawsze bardzo spokojny, cichy. Niezbyt chętnie biegał po dworze z innymi dziećmi, kieszko grał w piłkę, a na rowerze nauczył się jeździć mając dopiero dwanaście lat. Wolał pomagać rodzicom na gospodarstwie lub w ogrodzie, w przeciwieństwie do Gienka, który od każdej roboty migał się już od najmłodszych lat.

No a teraz, po tylu latach znów ze sobą zamieszkali, młodszy i starszy brat. Ale o dziwo, dobrze im było razem. Gienek dalej nie mógł za długo wysiedzieć w jednym miejscu. Chodził na ryby, został grzybiarzem, w zimowe wieczory zaglądał na brydża do kolegów. Zupełnie inaczej niż Edmund, który większość czasu spędzał albo sam, albo ze swoim ukochanym kundelkiem Guciem, którego przygarnął kilka lat wcześniej. Na gospodarstwie zawsze mieli jakieś psy, ale Edmund był zdania, że żaden z nich nie był tak mądry jak Gucio. Ten mały, czarny piesek zawsze potrafił odgadnąć, kiedy Edmundowi robiło się smutno. Przychodził wtedy do niego ze smyczą w pysku i stał tak długo, aż Edmund w końcu wstał z fotela i wyszedł z nim na spacer. A po spacerze zazwyczaj Edmundowi poprawiał się humor na tyle, by móc iść spać bez połknięcia garści tabletek.

Bo po śmierci żony i wyprowadzce najmłodszej córki Edmund, na pewien czas „stracił werwę”, jak to określił jego pan doktor, do którego po długim wahaniu i pokonaniu wstydu Edmund się wybrał.

– Tak to już bywa, panie Edku, że sił i ochoty do życia z wiekiem coraz mniej – tłumaczył pan doktor podpisując zamaszycie receptę na jakieś witaminy i tabletki na sen. – To normalne, zwłaszcza jak się zostało samemu, tak jak pan.

Edmund zawstydził się. Od początku wiedział, że tylko niepotrzebnie zawraca lekarzowi głowę. Tam za drzwiami czekają ludzie z poważniejszymi problemami, a on? Że jest sam i stary, a w dodatku trochę zdziwaczały, to wiedział i bez diagnozy pana doktora.

Witaminy brał regularnie, ale tabletki na sen trzymał ukryte w szafce na kluzyk. Żeby nie kusily, jak sobie powtarzał, choć kilka razy do roku, gdy już naprawdę nie mógł wytrzymać, gdy robiło mu się tak tęskno za poprzednim życiem, za pracą, żoną, dziećmi, że aż ścisnęło go z bólu w piersi, a w oczach błyskały łzy, ni to bezradności, ni to zażenowania, sięgał po tabletki i długo wazył je w dłoniach. Potem odkładał je z powrotem do szafki, niby z ulgą, ale trochę też i ze wstydem, że jednak brak mu odwagi, by łyknąć wszystkie na raz. W takie dni nawet Gucio na wiele się nie zdawał, choć wiernie machał ogonem i ocierał się mordką o spodnie Edmunda.

No a potem wprowadził się Gienek i „te dni” łapały Edmunda trochę rzadziej. Dobrze mu się mieszało z młodszym bratem, nawet lepiej niż początkowo zakładał. Jedynym problemem było gotowanie. Ani Edmund, ani Gienek, żaden z braci nie potrafił gotować.

Ratowali się jak mogli. Jajecznicy czy jajka sadzone byli w stanie przygotować. Gienek kupował też co jakiś czas mrożone pierogi, czasem wymieniał się rybami albo grzybami za obiad u sąsiadów. Edmund po wielu próbach nauczył się gotować rosół, najprostsza zupa świata, jak mu powtarzała przez tele-

fon starsza córka, no ale ile można jeść w kółko to samo. Dlatego też któregoś razu Gienek zaproponował bratu, by zamieszkała z nimi kuzynka Danka.

Danka owdowiała już jakiś czas temu i podobnie jak Edmundowi trudno było jej się samej utrzymać. Syna niby miała, ale nie mówiło się o nim za wiele. Edmund wiedział tylko, że siedzi w jakimś więzieniu za różne pomniejsze grzeszki i że Danka ma gdzieś w Polsce trójkę wnuków, na które jej syn nic nie daje. I to było na tyle, bo Danka, choć jedna z największych plotkar w całej wsi, na temat syna milczała uparcie i od lat.

Za to gotowała jak anioł, choć Edmund nie był wcale taki pewien, czy anioły potrafią i czy właściwie muszą gotować, bo kto tam ich wie. Przecież jakby gotowały i jadły, to musiałyby się też wypróżniać, tak na chłopski rozum, a Edmund nie był w stanie sobie wyobrazić, że tam u góry trzeba korzystać z toalet. Chyba że jest to wszystko tak urządzone, że samo znika i nie pachnie brzydko.

Po krótkim namyśle, przy kolejnej kolacji na którą znów składała się jajecznica przygotowana przez Gienka, bracia zdecydowali się zaproponować Dance wspólne mieszkanie. Kuzynka zgodziła się bez chwili wahania. Spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, zabrała ze sobą klatkę z kanarkiem i przeprowadziła się do braci. Gotowała i ogarniała dom, bo sił miała jak za trzy osoby i cieszyła się, że dzięki wspólnemu gospodarzeniu w końcu starcza jej na leki, a od czasu do czasu to nawet i jakąś nową bluzkę albo fryzjera. Czasem tylko, gdy robiło jej się tęskno, tak jak i Edmundowi, wracała do swojego starego mieszkania, odkurzała wszystkie meble i dywany, myła okna i ciężko wdychała, jakie to życie czasem jest dziwne i nieprzewidywalne.

No a potem to wprowadził się do nich jeszcze kolega Gienka. Oj, co to była za afera ze starym Józkem, jak Edmund sobie to przypominał to aż się wzdrygał. Gienek wrócił pewnego dnia z ryb i zachwycając się drożdżówką ze śliwkami upieczoną przez Dankę, opowiedział bratu i kuzynce, że jego kolega Józek nie ma gdzie się podziąć. Znaczący się teoretycznie ma – jego dzieci postanowiły, że ojciec stał się zbyt niedołączny, by samemu mieszkać i trzeba go oddać do domu opieki, na co Józek absolutnie zgodzić się nie chce i nie może, i on, Gienek, również nie wyobraża sobie zostawić kolegi w potrzebie.

– Ale że co ty niby sobie myślisz, obcego faceta wziąć tu pod dach? – pytał się Edmund z niedowierzaniem. – I to jeszcze niedołącznego?

– Ja nie mam zamiaru robić przy nim – dodała zaraz Danka. Dobrze wiedziała ile to roboty wymaga taki chory, zwłaszcza leżący i w pampersach. Jej koleżanki jeździły do Niemiec zajmować się starymi Niemcami i raz jedna z nich poprosiła Dankę o zastępstwo, by ta mogła zjechać na urlop do Polski. Danka raz pojechała do starego Reinera i postanowiła, że nigdy więcej, za żadne pieniądze.

– Józek wcale nie jest taki schorowany – tłumaczył spokojnie Gienek. – Owszem, chodzi o kulach, bo mu kolano w jednej nodze wysiadło i z ciśnieniem ma problemy, ale co to jest, co drugi przecież łyka tabletki na ciśnienie, albo serce, albo jeszcze cholesterol.

Do późna w nocy dyskutowali, jak to miałoby wyglądać, gdyby Józek się do nich wprowadził. W końcu postanowiono, że na próbę niech będzie. Józek zajmie pokój na dole, będzie dokładał się do rachunków i jedzenia, a jeśli znacznie wymagać większej opieki, będzie musiał wrócić do siebie. I Gienek odpowiada za wszystkie wybryki kolegi.

Ale Józek okazał się tak nieszkodliwym i mało wymagającym lokatorem, że Edmund i Danka szybko zapomnieli o swoich obawach. Większość dnia spędzał w swoim pokoju, czytał, albo rozwiązywał krzyżówki. Razem z Danką oglądał wieczorami teleturnieje w telewizji i wychwalał pod niebiosa każdą z potraw, które Danka przygotowała. Z Edmundem chodził czasami po ogródku i pomagał mu na tyle, na ile mógł, ale najczęściej jednak siedział na ławeczce, którą Gienek specjalnie dla niego zbił z paru desek i podziwiał efekty pracy Edmunda. O dzieciach mówił niewiele, bo wciąż nie mógł przeboleć, że chcieli się go pozbyć.

– Ja rozumiem – opowiadał z żalem Józek – gdybym był po jakimś udarze, albo wylewie. I bym nie kontaktował, albo wymagał całodobowej opieki. Ale tak jak ja teraz żyję? Czy ja komu jakoś bardzo przeszkadzam? Wpadliby do mnie dwa razy w tygodniu, zakupy przywieźli, do lekarza raz w miesiącu pojechali i to tyle, z resztą dałbym sobie radę sam. Ale nie, najłatwiej staro go oddać w obce ręce.

Edmund tylko słuchał, nic nie komentował. Bo co miał powiedzieć? Jego dzieci to nawet i raz w miesiącu nie miały czasu przyjechać go odwiedzić. A syn Danki? Ten to już w ogóle, przez niego matka czasem to wstydziła się na wieś wychodzić. Jedyne Gienek mógł mieć spokojne sumienie w tej kwestii, no chyba że jednak gdzieś tam w świecie mieszkały jego półmurzyńskie dzieci.

Ale że Jola, bratowa Danki się do nich wprowadzi, to tego nikt z nich nie mógł przewidzieć. Którejś styczniowej niedzieli, gdy cała czwórka jadła zrazy przygotowane przez Dankę, do drzwi zapukała zapłakana Jola z niedużą walizką w rękę. Jola rzuciła się Dance w ramiona i łkając zaczęła opowiadać, że ona z tym pijakiem, jej mężem, dłużej już tak nie wytrzyma. I że albo od niego odejdzie, albo w końcu kogoś zabije, nie wie tylko jeszcze, czy siebie, czy jego. Danka zaparzyła bratowej melisy, Gienek zrobił miejsce przy stole, by Jola mogła usiąść, a Edmund tylko kiwał głową. Wiedział, że mąż Joli, jego kuzyn i brat Danki jednocześnie, to wypić lubił zawsze, a i ponoć rękę ciężką miał, ale do tej pory Jola jakoś nie narzekała.

– Nie narzekałam, bo dzieci małe były, więc co miałam robić – płakała Jola. – Ale teraz, gdy już każde z nich poszło, dłużej nie wytrzymam z tym człowiekiem. Proszę, pozwólcie mi z wami zamieszkać. Ja pracę znajdę, w tym nowym markecie w mieście szukają kogoś na kasę. Mojej koleżanki córka jest tam kierownikiem, może uda jej się załatwić mi miejsce.

I rzeczywiście udało się załatwić. Jola poszła do pracy do sklepu, zajęła też nieduży pokój obok Danki na piętrze, a w wolnych chwilach z zapalem pomagała Edmundowi w ogródku. Udało jej się go namówić na parę kwiatowych rabat i na wiosnę aż przyjemnie było popatrzeć. Mąż Joli tylko raz próbował zabrać swoją małżonkę z powrotem, tam gdzie jej miejsce, ale czmychnął natychmiast, gdy do rozmowy wtrącił się Gienek, napinając swoje mięśnie i prezentując tatuaże zdobiące mu ramiona. Jola przeplakała wiele nocy, długo też rozmawiała ze swoimi dziećmi, ale nie zdecydowała się na powrót do pijącego męża. A gdy dostała pierwszą wypłatę, pierwsze własne pieniądze od lat i z drżącymi rękoma położyła Edmundowi na stół swoją własną część na życie, poczuła, że w końcu pętla uciskająca jej pierś delikatnie się poluzowała. Wreszcie miała swoje pieniądze, wreszcie nie musiała prosić męża o głupią dychę na podpaski, bo ten przecież bardzo niechętnie wydzielał Joli dodatkowe pieniądze „na fanaberie” i rozliczał ją z każdego grosza bardzo dokładnie. Ale teraz Jola miała, nawet po zapłaceniu Edmundowi, tyle pieniędzy, że nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wciąż przeliczała wypłaconą z konta sumę, jakby bała się, że banknoty znikną. Dopiero Danka pokazała jej, że mogą sobie spokojnie pójść na zakupy, albo kawę na miasto i że jeszcze zostanie.

Cała piątka stanowiła dość dziwną grupę mieszkańców, a złośliwi sąsiedzi nazywali dom Edmunda schroniskiem dla dziwaków. Nawet ksiądz proboszcz któregoś dnia wybrał się do nich z wizytą, by sprawdzić, czy na pewno nic bezbożnego się w domu Edmunda nie dzieje, bo to jednak rzeczywiście dość podejrzane, że tyle prawie że obcych osób nagle ze sobą zamieszkało. Po upewnieniu się jednak, że nie dzieją się tam żadne gorszące sceny wrócił na plebanię ze spokojnym sumieniem. Potem co jakiś czas wpadał do Edmunda i reszty, by wyspowiadać Józka, albo po prostu napić się herbaty z domownikami. Tym samym zamknął usta co większym plotkarom we wsi, choć wiadomo, dalej różne rzeczy można było usłyszeć, zwłaszcza gdy nie było ciekawszych tematów do rozmowy. Najgorzej dostawało się Joli – mówiono, że któryś ze starców ją zbałamucił i wykorzystał, ale Jola tylko się śmiała i przekomarzała, że mając aż trzech tak wspaniałych kandydatów musi ich dobrze wszystkich wypróbować, zanim na jednego się zdecyduje.

I pewnie żyłoby się im wszystkim dalej tak dobrze, gdyby nie Edmund i jego cholerne szczęście.

W pewien czerwcowy poranek roztrzęsiony Edmund wpadł razem z Guciem do domu. Opadł ciężko na krzesło kuchenne i z przymkniętymi powiekami oddychał głośno. Gienek, który właśnie robił sobie w kuchni kawę, rzucił się na pomoc bratu.

- Edziu, Edziu, co ci jest?! - szarpał nerwowo brata za ramiona, nie wiedząc co się dzieje. - Może wody ci dać? Albo okno otworzyć?

Gienek już chciał wzywać karetkę, podejrzewając zawał u brata, ale Edmund w końcu doszedł w miarę do siebie. Rozejrzał się nerwowo po kuchni, następnie kazał Gienkowi zamknąć drzwi.

- Zobacz - wyszeptał do Gienka, podsuwając mu pod nos gazetę.

- Niby co mam zobaczyć? - zdziwił się Gienek, ale po chwili do niego dotarło. Razem z gazetą Edmund podsunął mu kupon totolotka.

- Czy ty...

- Trafiłem szóstkę - wyszeptał Edmund, blady jak ściana.

- Niemożliwe.

- Sam sprawdź. Ja chyba trzydzieści razy porównywałem liczby i wszystko się zgadza.

- Święci pańscy... - tym razem Gienkowi zakręciło się w głowie i musiał chwycić się stołu, inaczej by się przewrócił. - Ile wygrałeś?

- Niecałe trzy miliony - odpowiedział Edmund. - Minus podatek.

- Ktoś już wie?

- Na razie tylko ty.

- I co teraz? - zapytał Gienek.

Edmund zamyślił się. Skreślał zakłady raz w tygodniu, owszem, ale nigdy jakoś nie wierzył w wygraną. Ot, taki nawyk od lat, bardziej chyba dlatego, że jego żona regularnie próbowała szczęścia i wiele razy opowiadała, co to by zrobiła, gdyby udało jej się trafić główną wygraną. Edmund nie miał pojęcia co dalej. Co zrobić z tą kwotą, na co ją wydać.

- Trzeba powiedzieć pozostałym.

- Żartujesz? - Gienek poderwał się na równe nogi. - Żeby zaraz zaczęły się do ciebie pielgrzymki po zapomogi? Tu trzeba być dyskretnym.

- A ty co byś kupił za takie pieniądze? - zapytał Edmund brata.

- Ja? - Gienek rozmarzył się. - Kupiłbym jacht i pływałbym nim po całym świecie...

- Rzeczywiście bardzo dyskretnie - skomentował Edmund. - Ja jednak uważam, że trzeba powiedzieć o tym Dance, Joli i Józkowi.

- A co im do twoich pieniędzy? - Gienek był wyraźnie niezadowolony. - Zobaczysz, źle to się skończy.

Edmund postanowił, że wieczorem opowie o wszystkim pozostałym lokatorom. Teraz musiał ochłonać, zastanowić się co dalej. Schował kupon do portfe-

la i poszedł do swojego pokoju. Położył się na łóżku, ale po paru minutach przewracania się z boku na bok, wyjął kupon z portfela i schował go do kieszonki na koszuli. Głodził się co chwilę po niej, jakby upewniając się, że karteczka nie wyparowała.

Co by zrobił z taką kwotą? Gdyby go spytano o to pięćdziesiąt lat temu to nie miałyby żadnych wątpliwości. Wybudowałby dom, powiększyłby gospodarstwo, odłożyłby dla dzieci na później, żeby miały łatwiejszy start. A teraz? Nie miał pojęcia, co zrobić.

Może rzeczywiście pomyślał Gienka, by kupić jacht i podróżować po świecie był niczego sobie. Edmund niewiele widział w swoim życiu. Przywiązany do ziemi i zwierząt, tylko kilka razy wyjechał na parę dni, ale najdalej to do Warszawy. A żeby tak poleżeć na plaży, albo być w obcym kraju... Gienek bywał w świecie, zna języki, więc z nim będzie różnie.

A co z domem i pozostałymi lokatorami? Co z jego ogrodem? A z Guciem? Edmund zmarszczył czoło. Akurat dom i ogród mógł zostawić pod opieką Danki i reszty, ale psu to chyba serce by pękło, gdyby Edmund go zostawił. Czyli nie ma innej opcji – cała piątka plus pies musi wybrać się w podróż po świecie, czy chce czy nie!

Postanowiwszy to Edmundowi zrobiło się różnie na duszy. Nie mógł doczekać się reakcji pozostałych domowników, gdy im powie o swoim planie.

Tak jak ustalił wcześniej z Gienkiem, podczas kolacji poinformował resztę lokatorów o swoim szczęściu.

– Jezus Maria – Danka pobladła i rzuciła się do apteczki, by nalać sobie nerwosolu do szklanki. – Tyle pieniędzy...

– Teraz to dopiero będziesz mógł zacząć żyć – powiedział Józek.

Tylko Jola nic nie mówiła. Co zresztą jej do wygranej Edmunda? Nie byli przecież żadną rodziną. Ale teraz, gdy Edmund został milionerem, nie będzie potrzebował lokatorów. I Jola obawiała się, że będzie musiała się wyprowadzić. A niby dokąd? W mieście, w którym pracowała nie było aż tyle ofert wynajmu pokoi lub mieszkań, bardzo ciężko było coś znaleźć. Joli lzy stanęły w oczach. Będzie zmuszona wrócić do męża, do ich wspólnego mieszkania. „Już chyba lepsza będzie jakaś noclegownia dla bezdomnych”, pomyślała Jola sięgając po chusteczkę, by wydmuchać nos.

– Na pewno dobrze sprawdziłeś liczby? – zapytał Józek mieszając spokojnie herbatę.

– Tyle razy, że znam je już na pamięć – odpowiedział Edmund, ale dla pewności wyciągnął kupon z kieszonki koszuli i wręczył go koledze. – Ale możesz sprawdzić i ty.

Kupon wędrował z rąk do rąk, każdy chciał choć przez chwilę potrzymać w dłoni kawałek papieru wart kilka milionów polskich złotych. Józek i resz-

ta porównali liczby z wynikami losowania i rzeczywiście, nie było wątpliwości, Edmund został milionerem.

– Pamiętajcie, nikt nie może się dowiedzieć – powiedział Gienek groźnie marszcząc brwi. – Wyobraźcie sobie, co to by się działo, gdyby sąsiedzi się dowiedzieli. Od rana do wieczora nie zamykałyby się u nas drzwi. Każdy chciałby coś wyżebrać.

Na moment cała piątka zamyśliła się. Każdy zaczął myśleć, co zrobiliby z pieniędzmi z wygranej.

Gienek bez wahania spędziłby resztę swojego życia na morzu.

Edmund ciągle trzymał się myśli, że podróż na własnym statku po świecie w towarzystwie przyjaciół byłaby ciekawą opcją. Mógłby odwiedzić swoje dzieci, a jeśli by coś jeszcze zostało to mieć na spokojne dalsze życie, bez zamartwiania się, że podniesiono ceny za prąd czy gaz.

Danka z kolei najchętniej nigdzie by nie wyjeżdżała. Za pieniądze z wygranej spłaciłaby długi syna i zapłaciła alimenty na wnuki. No i wyremontowałaby dom Edmunda i jej stare mieszkanie.

Józek wybudowałby dom opieki dla starszych. Wciąż nie mógł przeboleć, że dzieci chciały go umieścić w takim właśnie domu, mimo że nie potrzebował nie wiadomo jakiej opieki. Sporo na ten temat myślał i stwierdził, że ciekawy pomysłem byłyby taki dom, w którym znajdowałyby się niewielkie mieszkania, każde z kuchnią i łazienką, a dodatkowo wspólne pomieszczenia. Że niby jest się samemu, ale gdy zajdzie potrzeba to są dostępne pielęgniarki, albo towarzystwo we wspólnych salach.

A co zrobiłaby Jola? Przede wszystkim by się rozwiodła i kupiła sobie mieszkanie. Dobrze jej się żyło u Edmunda, no ale co swoje to swoje. I dzieciom też by kupiła jakieś lokum. A resztę zostawiłaby na koncie, na czarną godzinę.

Myśląc o tym Jola, która akurat jako ostatnia dostała kupon Edmunda do ręki, mimowolnie zaczęła zwijać papierek w rulon. Gienek, podejrzewając, że kobieta chce ukraść albo zniszczyć kupon, poderwał się na równe nogi i wrzasnął:

– Co robisz, głupia babo?!

Jolce zaczęły drżeć ręce, bo gwałtowna reakcja Gienka bardzo przypomniła jej zachowanie męża. Ze strachu upuściła kupon na ziemię. Rzuciła się na niego Danka, chcąc podnieść papierek jak najszybciej i oddać kuzynowi, ale w tym samym momencie Edmund schylił się również i oboje zderzyli się boleśnie głowami.

– Wiedziałem, wiedziałem, że będą chcieli ukraść nasze pieniądze! – krzyczał Gienek uznając, że wygrana Edmunda jest przecież i jego wygraną.

– Czyś ty się szaleju najadł?! – odkrzyknęła Danka masując guza rosnącego na czole.

Wszyscy zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego. Nawet i Józek, tak zazwyczaj spokojny nie szczędził kilku gorzkich zdań, głównie Gienkowi, którego podejrzenia bardzo go zabolaly.

- Ty byś pierwszy mi wbił nóż w plecy! - wrzeszczał Gienek do Józka. - A ja cię pod dach przygarąłem!

- Uspokójcie się wszyscy! - Edmund, któremu zaczęło robić się słabo, próbował zapanować nad awanturą. Zwłaszcza kobiet było mu szkoda, bo zapłakana Jola wyglądała jakby miała zaraz zemdleć, a Danka zrobiła się tak czerwona na twarzy, że Edmund bał się, czy na pewno nie skończy się to jakimś zawałem. - To trzeba na spokojnie, poczekajcie... - Edmund nie dokończył zdania. Kupon, którym odruchowo machał w powietrzu, wypadł mu z dłoni. Gucio, jego ukochany pies, chwycił zębami papierek, myśląc że to pileczka i zaczął gryźć kartkę gwarantującą zwycięzcy trzy miliony nagrody.

W ciszy jaka zapadła w kuchni dało się słyszeć jak pies przeżuwa i połyka kupon, a potem radośnie merda ogonem.

Po dłuższej chwili Gienek ukrył twarz w dłoniach i zaniósł się szlochem. Edmund poklepał go delikatnie po ramionach.

- Może jeszcze da się wyciągnąć go z Gucia... - zasugerowała nieśmiało Jola.

- Pewnie, wystarczy przeciąć psu brzuch, może coś się wyciągnie - skomentował Józek, który miał wielką ochotę głośno się roześmiać. Edmund jednak głośno i stanowczo oznajmił, że nikomu nie pozwoli pociąć Gucia i narazić go na niepotrzebne cierpienie, za żadne pieniądze.

- No i tyle jeśli chodzi o bycie milionerami - westchnęła Danka. - Mnie się zresztą i tak nie chciało wierzyć, że te pieniądze dadzą ci, Edek, naprawdę. Tak po prostu, bez żadnych szwindli? Niemożliwe.

- A ja już myślałem, że kupimy ten jacht - Edmund uśmiechnął się blado do swojego rozpaczającego brata. Kto by pomyślał, że akurat Gienek tak przeżyje to wszystko. - Widzisz, i na co to moje szczęście się przydało? Mało byśmy się nie pozabijali nawzajem.

- To może ja dorobię nam herbaty, co? - rzuciła Danka nalewając wody do czajnika. - Wszystkim nam na pewno dobrze zrobi.

- Ach, Edmund, ty przynajmniej byłeś milionerem przez kilka godzin - westchnęła głośno Jola. - Chciałabym mieć kiedyś taki problem, jak ty przed chwilą: co zrobić z taką sumą.

- Ja tam w sumie cieszę się, że nie muszę się tym dłużej martwić - Edmund wrzucił ramionami. - I tak wiele rzeczy ułożyło mi się lepiej, niż się spodziewałem. A w totolotka już nigdy więcej nie zagram. Po co kusić los? Jeszcze bym wygrał drugi raz.

Gienek uniósł głowę i spojrział z niedowierzaniem na Edmunda. Że też pokarano go takim bratem idiotą!

Woda się zagotowała i Danka zalała wrzątkiem herbatę. Gucio zasnął pod stołem, nieświadom odegranej przed chwilą roli w życiu tej piątki siedzącej wokół niego.

WYRÓŻNIENIE BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

EWA KRZEMIŃSKA

ZESPÓŁ JEDZIE Z NAMI

Nie dowierzam zdjęciom. Szczególnie tym starym, zamkniętym w albumach sprzed czterdziestu lat. Sceptycyzm i syndrom niewiernego Tomasza są tak duże, że zaczynam podejrzewać mistyfikację. Tymczasem to naprawdę ja. To naprawdę moja siostra.

Kadr jest fatalny. Kawalek szafy na wysoki połysk, firana, łóżeczko prawie z lotu ptaka. Patrę na moją siostrę z uwagą, troską, ale bez zachwyty. Zdjęcia są niedoskonałe. Nie zapisują myśli, prawdziwych emocji, stanowią jedynie powierzchowne archiwum jakiejś tam przeszłości. Dziś patrę na moją siostrę z podziwem. Już dawno temu opuściła kokon dzieciństwa, więzienie łóżeczka. I stała się dorosłość. Nie taka miała być. Ta dorosłość. Bo przecież chciała być kowbojem, dziennikarką, baletnicą, aktorką, Madonną. W porывach dziecięcej ambicji wróżką, syrenką i producentem waty cukrowej z chmur. Ale nie wieżą. W życiu wieżą. I na pewno nie marzyła o zespole.

* * *

Tak. No wiem, że nie wytrzyma remontu, kucia, hałasu, ogólnej rozpierduchy. Tak się umawiałyśmy. Nastawił się. Dobra. Przyjadę po niego. Naciskam czerwoną słuchawkę i zastanawiam się, czy to nie są jakieś fanaberie. Po tylu latach szukam dowodów podważających obecność zespołu. A przecież gra ta przekłeta muzyka. Od rana do wieczora, siedem dni w tygodniu. Kakofonia jedna. Jednocześnie robię sobie wyliczankę: kabanosy, bułki z tej piekarni, salami, szesnaście ruchów myjących pod jedną pachą, potem tyle samo pod drugą pachą, zero słodczy, żadnych przekleństw i wulgaryzmów, bo powtórzy gdzie popadnie, do czternastej obiady, Kubica całą dobę, kabanosy, tosty...

* * *

Gość w dom, Bóg w dom. Gość z zespołem. Damy radę.

Pójdiesz ze mną po te spodenki na strych. Podniesiony głos, napięte wszystkie mięśnie, ciało pochylone w moją stronę, w oczach złość i rozpacz prawie. Zespół ma swoje kolejne pięć minut. Nie. Nie pójdę. Na pewno jeszcze nie wyschły.

Dowiaduję się, że nie umiem segregować prania, a on nie ma skompletowanej piżamy, a w gaciach nie śpi. Czyli koniec świata. Apokalipsa niespełniona. Piżama z kosza na brudy powstrzymuje czterech jeźdźców.

Rowery. Rowery są fajne. Relaks jest. Widoki piękne. Ptaki śpiewają. Przy ptakach zespół trochę sobie odpuszcza. Miło, ciepło, wycieczka taka.

Tymczasem nieprecyzyjne „skręcamy tutaj” oznacza, że za trzy sekundy wpakuje się w mój rower. Kobieto, jak jeździsz?! Wydziera się. Koniec relaksu. W dupie z ptakami. No właśnie. Kurwa. Jak ja jeżdżę. Jak ja mówię. Zapomniałam, że zespół jedzie z nami.

Kolacja. Chce być miły. Widzę, jak bardzo się stara. Skubie jajko na miękko, które wyszło na twardo. Zjada. Odruch wymiotny. Co się tak gapię.

Codziennie o dziesiątej z minutami połyka tabletkę. Zespół się domaga. Już czas. O Boże. Nie spakowałam. Nie przywiozłam. Wyleciało mi z głowy. Ogłasza, że jestem tępa. Pojadę. Przywiozę. Jestem na granicy, on i jego zespół pod ścianą, a moja siostra jest jak wieża.

Na początku była krzywa wieża

Budowanie macierzyństwa to trudna i misterna robota. Bardzo młoda kobieta udaje przed światem, że precyzyjnie, świadomie zmienia pieluchy i nie zmienia zdania na temat pięknej idei bycia matką. Świat się nabiera. A ona czuje, że kilka miesięcy ciągnie się jak 199 lat. Że brakuje solidnych fundamentów. Czuje, że nie trzyma pionu, że traci grunt pod nogami, że marmur jest przereklamowany. Odpadające fragmenty trzeba by pozbierać i powcisnąć na miejsce. Ale najpierw trzeba się pozbierać.

Tymczasem rozhuštały się dzwony, obwieszczając, że od teraz pochylona będzie jej figura matki wcale nie świętej. Od teraz i na zawsze. I nie narodzi się architekt, który powstrzyma odchylenie od pionu.

Rdz 11, 1-9

Akurat w tej historii Pan nie zstąpił z nieba, by zobaczyć miasto i wieżę. A ona wcale nie chciała sięgać nieba. Wiedziała, że twardo musi stąpać po ziemi. Balal, balal, balal. Z dnia na dzień pomieszane wszystko. Już siebie nie ukończy.

Nie zbuduje kobiecości, nie postawi na swoim, nie stworzy niestworzonych rzeczy. Nie ma mowy o przekraczaniu granic, a myśl o sobie stanie się wyrzutem sumienia.

Nie ma mowy. Nie ma porozumienia. Synu, powiedz coś na pocieszenie. Niekoniecznie językami aniołów.

Z kutej stali

Musi mieć nerwy ze stali. Czasem serce z kamienia. Musi mieć wątpliwości, by potem utwierdzić się w przekonaniu, że świat jej syna, choć na opak, jest jego światem jedynym i prawdziwym. Ona musi być bramą, wejściem, wyjściem, a przecież wyjścia nie ma.

Ażurowa konstrukcja z kutej stali. Bardzo spodobało mi się to określenie. Znalazłam je w jakiejś broszurce o paryskich atrakcjach.

Szach mat

Ciężka figura. Wartościowa. Trzeba uważać, żeby jej nie stracić. Dwie powinny się wspierać. Jedna w towarzystwie króla może oznaczać wygraną. Pomaga pionom i figurom.

Siostró, nie poruszasz się po liniach prostych. Przeskakujesz inne figury, choć teoria temu przeczy. Roszady powtarzasz w nieskończoność, choć wiesz, że to niezgodne z regułami. Ty masz swoje zasady. Pat. Szach. Mat. Czasu szmat. Pat. Szach. Mat. Tak od lat.

Matka wieża nikomu się nie zwierza.

Widokowa

O. Jak pięknie.

O. Jak uroczo.

O. Jak niepewnie. Wszystkiego nie widać.

Widoki na przyszłość toną we mgłę i łzach. Ach. Jak wysoko. Jak nisko.

O. Już dorosłość.

A zespół daje czadu. O. I depresja wokalistka. Tej to już podziękujemy.

Robimy sobie zdjęcia. Uśmiechamy się. Uwieczniamy. Na jutro. Na potem. Bo przecież nie na zawsze. W kadrze mieścimy się bez trudu i z gracją. Fotki fałszywki. Zespołu nie widać.

WYDAWCA

Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
e-mail: mbp@biblioteka.lebork.pl
tel. 59 8622307

RYSUNKI

Natalia Schröder

ISBN 978-83-60731-41-3

WYDANO NAKŁADEM

Miasta Lęborka
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

DRUK

Drukarnia BOXPOL Słupsk
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk
tel. 59 842 43 71
e-mail: druk@boxpol.pl
boxpol.pl